

Meredith Webber

Lekarz do wzięcia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

WITAJCIE W CROCODILE CREEK!

Złote litery na zielonym tle. Baaardzo patriotycznie, tylko czego tutaj szuka kobieta, która wychowała się w penthousie w centrum Melbourne, i której cały kontakt z dziką przyrodą sprowadza się do jaszczurki trzymanej w domu przez koleżankę? Oj, chyba przesadziła.

Nie pierwszy zresztą raz!

Chociaż... rzucenie w Lindy pierścieniem zaręczynowym to nie przesada. Ten celny rzut rozładował napięcie i pomógł stłumić mordercze instynkty, bo niewiele brakowało, a ukatrupiłaby była już najlepszą przyjaciółkę, ewentualnie swojego speszonego, i obecnie również byłego, narzeczonego Daniela.

Kate, uświadamiając sobie nagle konsekwencje podjętej ad hoc decyzji, zjechała na trawiaste pobocze i zapatrzyła się ze zgrozą w tablicę z nazwą miasteczka. A więc klamka zapadła, oto dotarła ostatecznie do miejsca przeznaczenia i licho wie, co ją tu czeka.

Czy to w ogóle możliwe, że w takiej zapadłej dziurze o idiotycznej nazwie – Krokodylowy Strumień, koń by się uśmieł! – zdoła znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania, bez których to odpowiedzi nie odbuduje swojego życia?

Znowu wróciła myślami do tego, co sugerowałaby nazwa miejscowości. No nie! Przecież nikt nie budowałby miasta nad strumieniem, w którym naprawdę żyją krokodyle.

Zerknęła jednak przez ramię na... tak, raczej rzekę niż strumień. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wrzuciła bieg i ruszyła. Tutaj, w północnym Queenslandzie, wszystko jest możliwe.

– Przejedziesz przez miasteczko, potem przez most, miniesz szpital i zobaczysz duży dom na cyplu.

Wskazówki, których przełożona pielęgniarek udzieliła jej wczoraj wieczorem przez telefon, były zwięzłe, ale wyczerpujące. Droga przecinająca miasto doprowadziła ją do trochę rozchwierutanego mostku. Spojrzała przez boczną szybę i znowu naszła ją pokusa, by się zatrzymać. Praktycznie pośrodku miasteczka rozciągała się piaszczysta plaża, którą lizwały leniwie fale zielonkawobłękitnego morza. Zgrzana i dosłownie lepiąca się od potu w tym ostatnim z pięciu dni jazdy, tęskniła za wodą, ale w domu czekał na nią niejaki Hamish.

W tym domu!

Czy to aby na pewno ten? Tam, na cyplu, po południowej stronie tej magicznej zatoczki?

W dzieciństwie marzyła o zamieszkaniu w domu nad morzem. Podniecona docisnęła mocniej pedał gazu. Tak, ten budynek po prawej to zdecydowanie szpital. Niski, stosunkowo nowoczesny, otoczony palmami i roślinami o soczyście zielonych liściach, z podjazdem dla karettek, wejściem do izby przyjęć i parkingiem.

A za szpitalem dom – na wzgórzu, nad morzem. Zaparkowała na małym, wyłożonym cementowymi płytami placu z boku, wyciągnęła z bagażnika walizkę i wspięła się po schodkach na szeroką werandę.

Drzwi frontowe były otwarte, ale mimo wszystko zapukała. Nie doczekawszy się reakcji,

zawołała dla formalności „dzień dobry!”, przekroczyła próg i ruszyła niepewnie szerokim korytarzem biegnącym na przestrzał przez środek starego budynku.

– Masz pojęcie, jak trudno zorganizować rodeo? – Na końcu korytarza pojawił się wysoki mężczyzna, wymachując słuchawką telefonu. Pytanie, nie dość że dziwaczne, zadane zostało z lekkim szkockim akcentem. – Ty pewnie jesteś Kate?

Kate uśmiechnęła się po raz pierwszy od sześciu miesięcy. No, może niecałych sześciu.

– Na to by wyglądało – powiedziała, stawiając walizkę na podłodze i ruszając ku niemu z wyciągniętą ręką. – Kate Winship. Przełożona powiedziała mi wczoraj przez telefon, że po domu oprowadzi mnie Hamish, a więc pewnie ty.

– Hamish McGregor – potwierdził, ściskając jej dłoń.

Kate spojrzała mu w oczy. Były ciemnoniebieskie, prawie granatowe. W każdym razie tak wyglądały w ciemnym korytarzu wielkiego, starego domu, który, jak została poinformowana, nazywano domem lekarzy.

W nagłym przyplywie paniki wyszarpnęła rękę z jego uścisku i zaczęła się cofać. Jeden krok. Drugi.

W zrobieniu trzeciego przeszkodziła jej walizka. Odwróciła się i schyliła po nią.

– Ja wezmę. – Do pokonania dzielącej ich odległości wystarczył mu jeden długi krok. Wyjął jej walizkę z ręki. – Umieścimy cię tutaj. Pokój należał wcześniej do Mike’a, ale on... No nic, wkrótce wszystkich poznasz. Powiem tylko, że ostatnio coraz więcej osób decyduje się na współlokatora, dzięki czemu zwolniło się kilka pokoi dla pielęgniarek, których kwatery są właśnie odnawiane.

Spojrzał na Kate z przekornym uśmiechem.

– Uczciwie ostrzegam, siostrzyczko Winship, w Crocodile Creek od paru tygodni szaleje epidemia beznadziejnych przypadków miłosnych, a więc proszę uważać.

– Miłość?! Mnie to nie grozi – zapewniła go. – Jestem uodporniona, niepodatna, zaszczepiona. Wirus miłości się mnie nie ima.

Położył walizkę na łóżku i odwrócił się. Uniesione wysoko ciemne brwi sięgały niemal kosmyka gęstych ciemnych włosów, który opadł mu na czoło. Te brwi zadawały nieme pytanie, na które ona ani myślała odpowiedzieć. Ale on wciąż na nią patrzył. Czekał...

Pora skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Po co organizujecie rodeo?

– Zamarzył nam się basen kąpielowy – odparł, odsłaniając w uśmiechu zdrowe, białe zęby.

– No tak, oczywiście. Basen kąpielowy dla wierzgających byków i narowistych koni?

Zachichotał. Gdyby nie była uodporniona...

– Zbieramy fundusze na basen dla Wygery, osady aborygenów leżącej w głębi lądu – wyjaśnił, poważniejąc. – Młodzież zanudza się tam na śmierć, w niektórych przypadkach dosłownie. Z tych nudów wykańczają się, wachając rozmaite świństwa – farby, kleje, spaliny – albo giną w kraksach podczas wariackich wyścigów samochodowych, które sobie dla rozrywki urządzą.

– I kiedy to rodeo?

– W następny weekend. Dlatego właśnie dom świeci dziś pustkami. Wszyscy, co mają wolne, pojechali do Wygery organizować przetarg na budowę tego basenu. Oferty firm powinny już wpływać. W akcję zaangażowała się cała miejscowa społeczność. Ja zostałem, bo mam dyżur pod telefonem. Powiedziano ci, że mamy tu samolot i helikopter?

Przerwał mu dzwonek telefonu. Wyszedł go odebrać, a Kate otworzyła walizkę, jednak przygnębiona tym, co usłyszała o młodych rdzennych Australijczykach, którzy z nudów odbierają sobie życie farbą i spalinami, straciła jakoś ochotę do jej rozpakowania.

Przyjechała tu dowiedzieć się czegoś bliższego o swojej matce, a nie zbawiać świat, mówiła sobie, ale nie pomagało. Wrócił Hamish.

– Słuchaj – powiedział, odgarniając z czoła ten niesforny kosmyk. – Wiem, że dopiero co przyjechałaś i głupio mi cię o to prosić, ale czy nie poleciałabyś ze mną do wezwania? W szpitalu rzyga właśnie piętnastoro małych przywiezionych z jakiejś imprezy i personel ma pełne ręce roboty.

Kate zatrzasnęła wieko walizki.

– Prowadź mnie do samolotu.

– Najpierw zmień buty na jakieś ludzkie. Te sandały w kwiatki może są i ładne, ale możesz sobie w nich skrócić kostkę, kiedy będą cię opuszczali do pacjenta.

– Nie podobają ci się moje buty? – obruszyła się, ale otworzyła z powrotem walizkę i wyjęła traperki. Resztę stroju – czekoladowe spodnie rybaczek i T-shirt w nieco jaśniejszym kolorze, z purpurowym kwiatkiem wyhaftowanym na ramieniu, też wypadłoby zmienić na praktyczniejszy, ale mniejsza z tym.

Ściągnęła sandały i usiadła na łóżku, by włożyć traperki.

– Nie musisz nade mną stać. Powiedz tylko, gdzie mam przyjść. Na to lotnisko, które widziałam po drodze?

– Nie, dzisiaj polecimy helikopterem. Zasznurowała buty i wyszła za nim tylnymi drzwiami do pięknego wonnego ogrodu. Rozejrzała się w poszukiwaniu źródła zapachu, który zalegał w powietrzu, ale Hamish szedł zdecydowanym krokiem przed siebie, nie zwracając najmniejszej uwagi na te aromaty. Pewnie do nich przywykł, pomyślała.

– Za szpitalem mamy lądowisko dla helikopterów – wyjaśniał. – Pilotów jest dwóch. Jeden, Mike Poulos, jest również ratownikiem, a więc lekarz może latać na wezwania tylko z nim, ale kiedy Mike ma wolne, a dyżur pełni Rex, to muszą lecieć dwie osoby z personelu medycznego.

– To jakiś wypadek drogowy? – spytała Kate, zadowolona, że systematycznie biega, bo bez takiego przygotowania nie nadałyby teraz za stawiającym długie kroki Hamishem.

– Chyba nie.

Zdumiona tą odpowiedzią, spojrzała na niego pytająco.

– Jakiś dziwny był ten telefon – dodał. – Kiedy teraz o nim myślę, ogarniają mnie wątpliwości, czy powinnaś ze mną lecieć.

– Lecę. Dziwny w jakim sensie?

– Sam nie wiem, po prostu dziwny. Dzwoniący powiedział tylko, że w wąwozie Cabbage Palm leży ranny mężczyzna i podał współrzędne GPS. No wiesz, tego globalnego systemu

nawigacji satelitarnej.

– Wiem, obilo mi się o uszy.

– Ponieważ to wąwóz, będziemy musieli spuścić się tam z helikoptera na linie.

– To dla mnie nie pierwszozna, chociaż przyznaję, że do wąwozów jeszcze nie zjeżdżałam. Za to spuszczałam mnie już podczas sztormu na platformę wiertniczą w cieśninie Bass i zapewniam cię, że to nie były przelewki.

Doszli do helikoptera i Hamish przedstawił jej Rexa – mężczyznę w średnim wieku łysego jak kolano, za to z sumiastym wąsem – po czym włożyli podane im przez Rexa kombinezony.

– Do wąwozu mamy trzy kwadransy lotu, ale jeśli facet leży w krzakach, to z góry go nie zobaczymy. Pozostanie nam kierować się namiarem GPS. W samym wąwozie nie dam rady wylądować, a przepisy zabraniają spuszczenia ludzi z helikoptera bez wyznaczonego punktu lądowania. Siądę więc gdzieś na skraju wąwozu, a wy zejdzicie na dno.

Rex mówił do Hamisha, ale od czasu do czasu zerkał niespokojnie na Kate.

– O mnie proszę się nie martwić – zapewniła go, zanim Hamish zdążył powiedzieć. – Mam za sobą odpowiednie przeszkolenie.

– Dajmy na to – mruknął z powątpiewaniem Hamish. – Ale lepiej będzie, jeśli zejść do pacjenta pierwszy. Jeśli może się poruszać, obejdzie się bez twojej pomocy.

– Nic z tego, doktorze! – zaproponował Rex, pomagając im wspiąć się do kabiny. Podał Kate hełm ze słuchawkami i sprawdził, czy dobrze zapięła pas bezpieczeństwa. – Kiedy tam dolecimy, będzie się już ściemniało i nawet gdybyście zdążyli wywindować pacjenta przed zmrokiem, to ja i tak już bym go dziś nie zabrał. A przepisy mówią wyraźnie, że jedna osoba nie może nocować w terenie. Muszą być co najmniej dwie.

Kate zerknęła na mężczyznę, z którym miała spędzić tę noc. Siedział z ponurą miną. Wzruszyła ramionami i zaczęła wyglądać przez okno, bo właśnie wystartowali. Zatoka, szpital i miasteczko szybko zniknęły z pola widzenia, a w dole pojawiły się wzgórza. Na horyzoncie rysowało się pasmo górskie. Po pół godzinie lotu helikopter zszedł niżej, a piętnaście minut później Rex, wypatrzywszy miejsce do lądowania, posadził maszynę, wyłączył silnik, wskoczył do kabiny i zaczął odpinać ekwipunek, który będzie im potrzebny.

– Najpierw spuszczę pana, doktorze, potem sprzęt, a na końcu panią, siostró Winship.

– Proszę mi mówić Kate – zaprotestowała, ale Rex pokręcił tylko głową.

– Rex jest staroświeckim dżentelmanem – wyjaśnił Hamish. – Zresztą nie tylko wobec kobiet. Do mnie też przez kilka pierwszych miesięcy zwracał się per doktorze McGregor, a ja odnosiłem wrażenie, że mówi do mojego ojca. W końcu dał za wygraną i ograniczył się do samego doktora.

Rex wyskoczył z maszyny i zaczął odbierać od Hamisha torby ze sprzętem.

– Macie państwo radio, ale kiedy odlece, stracie ze mną łączność. Naważemy ją dopiero jutro rano, kiedy tu wrócę. Pacjenta namierzycie ręcznym GPS-em. Jak się rozwidni, poszukajcie tam na dole kawałka wolnej przestrzeni, z której mógłbym podnieść nosze, i podajcie mi przez radio współrzędne. – Rex patrzył z zatroskaniem na Hamisha. Było mu wyraźnie nieswojo, że musi ich zostawić. – Ja przenocuję w Wetherby Downs, dotankuję i o

pierwszym brzasku startuję. Będę tu z powrotem koło szóstej.

– Damy sobie radę – zapewnił go Hamish i podając Kate uprzęż wspinaczkową, spytał: – Jesteś pewna, że masz w tym wprawę?

– Spokojna głowa – odparła dzielnie, chociaż odwaga powoli ją opuszczała. Wąwóz nie był wcale taki głęboki, ale zachodzące słońce już do niego nie zaglądało i zalegający na dnie mrok napawał ją lękiem.

Silne męskie ramiona podtrzymały ją, ledwie dotknęła stopami dna wąwozu. Hamish odpiął linę od jej uprząży i szarpnięciem dał znak Rexowi, że może ją wciągnąć. Potem zarzucił sobie na ramię jeden plecak i schylił się po drugi.

– Ten jest mój – powstrzymała go Kate.

Mruknął coś pod nosem, ale pomógł jej założyć plecak.

– Czeka nas mały spacer – uprzedził.

– Nóg może nie mam takich długich jak twoje – odparła z uśmiechem – ale zaniosą mnie, dokąd trzeba. Prowadź.

Hamish spojrział na GPS i wprowadził z klawiatury współrzędne rannego.

– Około ośmiuset metrów w tę stronę – powiedział, pokazując Kate mapkę, która pojawiła się na małym ekraniku.

Ruszyli kamienistym korytem wąskiego wyschniętego strumienia, którego brzegi porastały szerokolistne palmy. Zmrok zapadał szybko, zapalili więc latarki.

– Już niedaleko – oznajmił po jakimś czasie Hamish, zatrzymując się. – Zawołam.

Jego okrzyk odbił się echem od ścian wąwozu i po chwili usłyszeli cichą, ale wyraźną odpowiedź.

– No, przynajmniej jest przytomny – mruknął Hamish, ruszając w kierunku, z którego usłyszeli głos.

Mężczyzna siedział oparty o ścianę pod nawisem skalnym tworzącym płytką otwartą niszę. Był bardzo młody, krzywił się z bólu i starał się powstrzymać łzy.

– Digger obiecał, że kogoś zawiadomi, ale myślałem już, że tylko tak mówił, bo mu było głupio, że mnie zostawia – powiedział zdławionym szeptem chłopiec.

– Ale zawiadomił i jesteśmy – odparł Hamish.

– Lekarz z pielęgniarką. Ja mam na imię Hamish, a to jest Kate. Przylecieliśmy z Crocodile Creek.

– Z Crocodile Creek? – W głosie chłopca zabrzmiała panika.

Kate uklękła, wzięła go za rękę i wymacała puls. Zauważyła, że chłopiec ma udo przewiązane nasiąkniętym krwią bandażem. Hamish odpiął już plecak.

– Tak, z Crocodile Creek. A teraz może ty się nam przedstawisz i powiesz, co ci się stało.

– Mam kulę w nodze – powiedział chłopiec.

– A jak się nazywasz? – spytał Hamish. Chłopiec jakby się zawahał.

– Jack – powiedział w końcu. – Mam na imię Jack. Hamish przystąpił do oględzin głowy i szyi Jacka, pytając jednocześnie, co go boli. Czy coś teraz czuje? A teraz? Czy spadł z konia? Z motocykla? Czy w ogóle uderzył się w głowę?

Jack odpowiadał ostrożnie, jakby speszony, ale nie, nie spadł z motocykla. Trudno by było, bo to czterokołowiec.

A gdzie ten motocykl?

Jack rozejrzał się i pokręcił głową, jakby nie wiedział, gdzie mógł się podziąć jego pojazd.

Hamish odbandażował udo chłopca.

– Jak dawno to się stało? Jack wzruszył ramionami.

– Chyba wczoraj. A może przedwczoraj. Żle się czułem... zasnąłem. Obudziłem się dopiero dzisiaj rano, kiedy Digger mnie tu przeniósł.

– Gdzie jest teraz ten Digger? – spytała Kate.

– Nie wiem.

Hamish spojrzał znacząco na Kate, ale nie skomentował tej odpowiedzi.

– Ma przyspieszony puls – oznajmił. – Trzeba mu podłączyć kroplówkę. W tym mniejszym plecaku jest lampa. Zapal ją, a potem wyjmij ze swojego wszystko, co nam będzie potrzebne. Aha, Kate, czy mogłabyś zająć Jacka rozmową, kiedy ja będę oczyszczał ranę?

– Nie ma sprawy.

– No to rozmawiajmy – podchwycił Jack.

– Dobrze. Ty zaczynasz. Opowiedz mi na początek o sobie.

– Nie ma o czym opowiadać – mruknął niechętnie. – Prawdę mówiąc, to lepiej by było, gdybyście mnie tu nie znaleźli.

– A mnie się wydawało, że nasz widok cię ucieszył – zauważyła kąśliwie Kate.

– No, może z początku – przyznał burkliwie – ale to tylko dlatego, że czułem się taki zdołowany. Tak naprawdę to wolałbym umrzeć.

– Wszystkim nam przychodzi czasami do głowy takie myśli. – Kate westchnęła.

– Założę się, że pani nie przychodzi – obruszył się Jack. – Wystarczy spojrzeć. Ładna, pewnie dobrze ubrana pod tym kombinezonem, niezła praca. Czy ktoś taki jak pani może wiedzieć, co ja czuję?

– Dowiem się, jeśli mi powiesz. – Kate uśmiechnęła się do niego. – Umówmy się tak: ty mi opowiesz historię Jacka, a ja tobie historię Kate, i założę się, że moja będzie bardziej przynębiająca... Ręce wprost opadają.

– A ja się założę, że moja.

– A ja, że moja.

– Zakład, że nie?!

– Zakład!

– Dzieci, spokój! – upomniał ich zbolalym tonem Hamish, ale Kate wychwyciła w jego głosie rozbawienie.

– Moja rodzina mnie nie chce – zaczął Jack. – Mieszkają wszyscy w Sydney, a mnie wysłali tu do pracy. Wyobraża sobie pani rodzinę, która tak robi?

– Nie takiemu ładnemu chłopcu. – Kate wzięła go za rękę. – Ale ze mną jest gorzej. Najpierw zmarł mój ojciec, potem mama, a na koniec brat powiedział mi, że oni wcale nie byli moimi rodzicami. Wzięli mnie po prostu na wychowanie, bo było im mnie żal. Czyli

wychodzi na to, że nie miałam nawet prawdziwej rodziny. Przebij to.

Jack spojrział na nią spode łba, ripostę miał gotową.

– Moi starzy mnie wydziedziczą, kiedy się o tym dowiedzą – oświadczył.

– Jak rozumiem, do tej pory tego nie zrobili. Masz jeszcze czas, żeby zyskać w ich oczach. A teraz, kiedy jesteś ranny, możesz grać kartą współczucia. Mój brat – to znaczy ta wesz, którą uważałam za swojego brata, kwestionuje testament mamy, twierdząc, że nie zostałam formalnie zaadoptowana. I co ty na to?

– Faktycznie, draństwo – przyznał Jack, ale myślał już intensywnie nad podbiciem stawki. – A mój wujek wykopał mnie ze swojego rancza.

– Ja szukałam swojej biologicznej matki, i kiedy ją wreszcie znalazłam, okazało się, że umarła tydzień wcześniej.

– O kurczę! Ale pech. Czyli nie wie pani, kim tak naprawdę jest?

– Wiem. Nikim – odrzekła wesoło Kate, chociaż wcale nie było jej do śmiechu. – Moje na wierzchu, prawda?

Jack patrzył na nią przez chwilę, potem pokręcił głową.

– Dziewczyna mnie rzuciła.

Głos mu się załamał, i Kate mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Właśnie dlatego wujek mnie wykopał.

– Tak, to przykre, ale nie możesz jakoś z nią porozmawiać, nawet jeśli nie pracujesz już u wujka?

Jack pokręcił głową.

– Próbowałem. Naprawdę próbowałem... Chciałem do niej pojechać, wszystko wyjaśnić... ale nie miał mnie kto podwieźć. A zresztą, nawet gdybym tam dojechał, to jej ojciec pewnie by mnie zabił. To on nas poróżnił. Zadzwoił do wujka i powiedział, że się spotykamy.

Jack mówił nieskładnie, ale Kate udało się złożyć z tych urywanych zdań sensowną całość.

– Kłopoty miłosne potrafią zaleźć człowiekowi za skórę – skomentowała ze współczuciem – ale to naprawdę małe miki, Jack.

– Małe miki? – zachnął się. – Postrzelili mnie i straciłem dziewczynę.

– Tak? A co powiesz na to? Rzuciłam pracę, żeby opiekować się matką...

– Która nie była twoją matką – wpadł jej w słowo Jack.

– Nie była, ale ją kochałam. W każdym razie wzięłam dwa miesiące urlopu, żeby ją pielęgnować, a w tym czasie mój wyśniony narzeczony zaczął romansować z moją najlepszą przyjaciółką na oczach wszystkich moich kolegów. Owszem, nie wyrzucili mnie z pracy, ale wyobrażasz sobie powrót...

– Podaj mi gaziki.

To burkliwe polecenie przypomniało Kate, że Jack nie jest jedynym jej słuchaczem. Spełniła je.

– Tak, ja też nie wrócę do pracy – oznajmił Jack. – Ale ty masz już inną. A ja innej nigdy nie znajdę.

– Gadanie! Oczywiście, że znajdziesz. Taki młody, zdrowy i przystojny chłopak.

Znajdziesz i nową pracę, i inną dziewczynę. Jedno i drugie lepsze od poprzednich.

Przez chwilę panowała cisza.

– Nie chcę innej dziewczyny – podjął cichym głosem Jack. – I nie wiem, jak szukać...

– Pomożemy ci – obiecała Kate. – Prawda, Hamish? Znajdziemy ci lepszą pracę i lepszą dziewczynę.

Hamish podniósł na nią wzrok znad rany, którą przez cały czas opatrywał.

– Przynajmniej spróbujemy powiedział, ale jego mina mówiła co innego.

Czyżby wątpił, że zdołają znaleźć chłopcu dziewczynę? A może... Kate serce zamarło. A może z Jackiem jest aż tak źle?

ROZDZIAŁ DRUGI

– No, rana oczyszczona na tyle, na ile się dało bez usunięcia pocisku – oznajmił Hamish.
– Przydałoby się go wyciągnąć, ale bez prześwietlenia wolę nie ryzykować. Nie wiem, gdzie cię. Poza tym straciłeś dużo krwi, Jack. Miałeś już jakieś problemy z krwotokami?

Jack, puszczając to pytanie mimo uszu, przymknął oczy, niby to wyczerpany rozmową z Kate, ale Hamish nie dał się na to nabrać.

– Pytam, bo musimy wiedzieć, ile krwi przygotować w szpitalu, zanim przystąpimy do operacji. Helikopter wróci tu o pierwszym brzasku i dwie godziny później będziesz już na stole operacyjnym w Crocodile Creek.

Na te słowa Jack otworzył oczy i spróbował usiąść.

– A nie moglibyście mnie przewieźć do Cairns? Albo do Townsville? Tam mają chyba większy szpital.

– Większy, ale nie lepszy – poinformował go Hamish. – Poza tym to za daleko dla helikoptera. Masz coś przeciwko Crocodile Creek? Zapewniam cię, że w rzece nie ma krokodyli... No, przynajmniej na tym jej odcinku, który przepływa obok szpitala.

Jack milczał.

– No nic – orzekł Hamish. – Pierwsza pomoc udzielona, pora na robotę papierkową. Gotowa? – zwrócił się do Kate. – Formularze są w plecaku.

Z miny Kate wyczytał, że nie pochwała tego nagłego przejścia od przyjacielskiej pogawędki do biurokracji, ale ona nie wiedziała przecież o zadawnionej waśni między dwoma sąsiadującymi tu na północy rodzinami, ani o tym, że jedna z tych rodzin ma powiązania ze szpitalem. Ani o niemowlęciu imieniem Lucky, które nosi teraz nazwisko Jackson i cierpi na odmianę hemofilii zwaną chorobą Willebranda. Ani o poszukiwaniach ojca tego dziecka – młodzieńca imieniem Jack.

– Znalazłam – oznajmiła Kate lodowatym tonem na wypadek, gdyby Hamishowi umknęła wymowa jej miny.

– To wypełnij. Jack podyktuje ci swoje dane, a leki i dawki sam już wpiszę. Póki co, rozejrzę się po okolicy i poszukam w tej gęstwinie kawałka wolnej przestrzeni, z której moglibyśmy rano Jacka wywindować.

Wyciągnął z plecaka silną latarkę, zapalił ją i oddalił się. Miał nadzieję, że pod jego nieobecność Jackowi rozwiąże się język i opowie Kate coś więcej o sobie. Wyglądało na to, że mają ze sobą sporo wspólnego. Tylko czy ona naprawdę przechodziła taką emocjonalną traumę, czy zwyczajnie zmyślała, by podtrzymać konwersację? Diabli wiedzą, ale z jakichś tajemniczych powodów on bardzo był tego ciekaw.

Kurczę blade! Prawie dwa lata w Australii, a tylko kilka niewinnych flirtów i ani jednego trwałszego związku. Tym bardziej teraz, na trzy tygodnie przed powrotem do kraju, nie czas na interesowanie się kobietami.

– To dobry lekarz? – spytał Jack, kiedy Hamish rozplątał się w ciemnościach.

Kate spojrzała za Hamishem, ale zobaczyła tylko czern.

– Dopiero tu zaczynam, więc nie wiem, ale sądząc po tym, jak opatrywał twoją ranę, chyba tak.

Jack przymknął powieki i nie odzywał się przez dłuższy czas. Kate myślała już, że zasnął, ale on otworzył nagle oczy i spojrzał na nią całkiem przytomnie.

– To znaczy, że nic nie wiesz o szpitalu? – spytał.

– Zupełnie nic, poza tym, że ma doskonałą opinię. Jego dyrektor, Charles Wetherby, zatrudnia najwyższej klasy personel i kupuje tylko najlepszy sprzęt, dzięki czemu mały który prowincjonalny szpital może się równać z naszym.

Nie przekonało to chyba Jacka, bo znowu zamknął oczy i zacisnął usta. Kate sięgnęła po formularz.

– Wiem, że jesteś zmęczony – powiedziała – ale wypełnijmy to może, zanim zaśniesz. Pytań nie jest dużo.

Jack uniósł powieki i spojrzał jej prosto w oczy.

– Żałuję, że nie umarłem – mruknął, po czym znowu zamknął oczy i odwrócił głowę, dając tym do zrozumienia, że rozmowę uważa za zakończoną.

– Nazwisko i imię? – zaczęła mimo wszystko Kate. – Adres? No, Jack, trzeba to zrobić.

Żadnej reakcji.

– Śpi? – spytał szeptem Hamish, wyłaniając się z mroku.

Kate wstała i odciągnęła go na stronę.

– Leżał przez cały czas z zamkniętymi oczami i nie chciał odpowiadać na pytania. Ale teraz chyba naprawdę zasnął. Puls stabilny, ale ciśnienie skurczowe niewiele się po kroplówce zmieniło. Może mamy do czynienia z jakimś krwotokiem wewnętrznym?

– Niewykluczone. I chociaż zszylem częściowo ranę i założyłem opatrunek uciskowy, krwawienie nie ustaje.

– To coś więcej niż przypuszczenie, prawda? – Kate spojrzała na Hamisha. Byli poza kręgiem światła rozsiewanego przez lampę, ale w księżycowej poświacie spływającej z góry zobaczyła w jego oczach zatroskanie.

– To długa historia, ale mamy czas. W plecaku ze sprzętem znajdziesz koc. Okryj nim Jacka. Są tam również dwie nadmuchiwane poduszki. Jedną podłóż mu pod nogi, drugą pod głowę. Ja tymczasem nastawię wodę na herbatę i poszukam czegoś do jedzenia.

– I opowiesz mi wszystko? Hamish uśmiechnął się blado.

– Powiem ci, co podejrzewam.

Kate, obejmując dłońmi pusty już kubek, wpatrywała się w szerokie liście kapuścianych palm rosnących w wąwozie i rozpamiętywała opowieść Hamisha o noworodku, którego znaleziono na rodeo i ledwie odratowano oraz o jego ciężko chorej matce i walce o jej życie. Materiał na scenariusz odcinka telewizyjnego serialu medycznego, który postaci skłóconych sąsiadów i zawały serca zmienia w operę mydlaną.

Spojrzała na siedzącego obok Hamisha.

– Czyli podejrzewasz, że nasz Jack jest siostrzeńcem Charlesa Wetherby'ego, którego

brat Charlesa, Philip, wypędził z prowadzonego przez siebie rancza za to, że uwiódł dziewczynę z rodziny Cooperów, córkę zaprzysięgłych wrogów i sąsiadów Wetherbych. A wyciągasz ten wniosek z tego, że jego rana nie przestaje krwawić i podejrzewasz, że przyczyną jest choroba von Willebranda.

– Lucky, to niemowlę ma von Willebranda, a to w rodzinie Wetherbych choroba dziedziczna – ciągnął cierpliwie Hamish. – Kiedy znaleziono Lucky’ego, Charles nie wiedział jeszcze, że jego siostrzeniec pracuje w Wetherby Downs, bo Charles z Philipem rzadko się do siebie odzywają. Ale kiedy do szpitala przywieziono z zawałem Jima Coopera, Charlesa coś tknęło i skontaktował się z Philipem...

– A ten powiedział mu o Jacku i Megan. Dobrze, już rozumiem – wpadła mu w słowo Kate. – O waśni między rodzinami też już wiem. Ale skoro Jack jest siostrzeńcem Charlesa, a Charles ma na pieńku z Philipem, to dlaczego Jack nie chce jechać do szpitala w Crocodile Creek? Przecież to klasyczny układ dobry wujek – zły wujek. Coś jak dobry gliniarz – zły gliniarz. Powinien się cieszyć, że trafi pod skrzydła dobrego wujka. Grunt to rodzina.

– Ma pocisk w nodze.

Kate ściągnęła brwi i spojrzała na Hamisha.

– Przecież to busz. Z tego, co słyszałam, ludzie nie rozstają się tutaj z bronią. Strzelają, do czego popadnie: do dzikich świń, do bawołów i węży. Dziury w znakach drogowych, które widziałam, jadąc tutaj, świadczą, że do znaków też. A więc sam mógł się postrzelić. Na przykład przelaził przez jakiś płot i broń wypaliła. To się zdarza. Albo ten Digger niechcący go postrzelił.

– No to gdzie się podział Digger? Jeśli postrzelił Jacka przypadkiem, to dlaczego zadzwonił po pomoc, a potem go zostawił?

– Bo miał coś ważnego do załatwienia. Na przykład musiał pędzić bydło na targ albo organizować rodeo. Jestem z miasta, skąd mam wiedzieć, gdzie się podział?

– Tutejsi ludzie tak nie postępują. Nie zostawiają kolegi w potrzebie. No i Jack bał się, że zostanie wydziedziczony za coś, co wydarzyło się już po tym, jak wuj wyrzucił go z pracy. Według mnie, zadał się z jakimiś nieciekawymi typkami, których sporo się tu kręci – zupełnie nieświadomie, pamiętaj, że on też jest mieszczuchem – a kiedy się zorientował, że coś jest nie w porządku, próbował się wycofać.

– I ktoś go postrzelił? Żeby mu w tym przeszkodzić? Ktoś, kto się tu gdzieś kręci? Z pistoletem?

Z głosu Kate musiało chyba przebijać więcej paniki, niż sobie uświadamiała, bo Hamish otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– A jakiego rodzaju nieciekawe typki wam się tu kręcą? – spytała.

– Bydlarze.

– Kto?

– Złodzieje bydła. Kradną bydło z okolicznych rancz. Te rancza są wielkości małych państweczek, a więc trudno pilnować przez cały czas ich granic. Bydlarze zapędzają ukradzione krowy do jakiegoś ustronnego miejsca – ten wawóz idealnie by się do tego nadawał – tam wypalają im nowe piętna, a potem rozwożą ciężarówkami na targi.

– Czyli Jack poznaje takich facetów, oni mu mówią „chodź, ukradniemy parę sztuk bydła”, i on na to przystaje? – Kate obejrzała się i taksowała przez chwilę wzrokiem śpiącego pacjenta. – Nie wygląda mi na takiego głupiego.

Hamish również się obejrzał.

– Mnie też nie. Ale przypuśćmy, że spotyka takich gości w pubie, i oni mówią mu, że wiozą partię bydła na stację kolejową. Coś w tym rodzaju. Jack zabiera się z nimi, pewien, że są w porządku, i dopiero potem zaczyna kojarzyć, że coś tu jest nie tak. Na przykład rozpoznaje u którejś z krów piętno rancza swojego wuja. Postanawia się wycofać, a wtedy herszt, który spodziewa się zgarnąć sporą kasę za swój łup, próbuje go zatrzymać.

– Kulka?

– Oni idą na całego. Ale podejrzewam, że strzelając, nie zamierzał chłopaka zabić. Pewnie chciał go tylko unieruchomić do czasu, aż wywiozą stąd bydło i będą bezpieczni. Jack miał szczęście, że tego drugiego, Diggera, ruszyło sumienie.

– To by wyjaśniało tę tajemniczość Jacka, ale jeśli naprawdę wplątał się w to nieświadomie, to nie można go oskarżać na równi z... no, z tymi od krów... Jak ich nazwałeś?

– Z bydlarzami. Kate kiwnęła głową.

– No właśnie. Bydlarze. Podoba mi się to określenie. Ma swój wydźwięk, prawda? Nie to, co złodzieje bydła.

– To proceder uprawiany od czasów kolonizowania Australii. Tak czy owak, nasz Jack będzie miał kłopoty. Przede wszystkim musimy zgłosić policji ranę postrzałową.

– Ale jeśli on jest ojcem dziecka i kocha dziewczynę, której je zmajstrował, a kocha, bo sam to powiedział, to Lucky'emu będzie przykro, jeśli jego tatuś wyląduje w pudle. Trzeba go jakoś wybronić. Może uda nam się schwytać tych bydlarzy.

– Kiedy cię słucham, mam przebłyski nadziei. Kate odsunęła się i spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nadziei na co? Jakiej nadziei? Uśmiechnął się.

– Myślałem z początku, że przytuliłaś się do mnie ze strachu przed jakimś rewolwerowcem, który gdzieś tu się czai, ale jeśli starcza ci odwagi, żeby proponować polowanie na dwóch uzbrojonych, gotowych na wszystko bandytów, to kto wie, czy nie przytuliłaś się do mnie, bo ci się podobam.

Kate wzięła głęboki oddech i spróbowała pozbierać myśli.

– Owszem, podobasz mi się, Hamish, ale ja nie żartowałam, mówiąc, że jestem uodporniona. Przyjechałam do Crocodile Creek, żeby uporządkować swoje życie. Stąd pochodziła moja biologiczna matka i chcę się o niej czegoś bliższego dowiedzieć, a przede wszystkim ustalić, kto był moim ojcem. W tej chwili czuję się zawieszona w próżni. Wszystko, w co do tej pory święcie wierzyłam, okazało się fałszem, więc szukam prawdy, szukam gruntu pod nogami. Rozumiesz mnie?

Kiwnął głową i zapatrzył się w wawóz.

– Mógłbym ci pomóc, Kate. Cały szpital by ci pomógł. Pracują w nim ludzie, którzy mieszkają tu od dziecka.

– Nie! Nie, Hamish. Wiem, że masz dobre intencje, ale ja muszę sama.

Odsunęła się od niego.

– Jak chcesz – mruknął ugodowo. – Ale pamiętaj, gdyby co, to na mnie zawsze możesz liczyć.

– Dziękuję, będę pamiętała.

– Zerknę jeszcze na naszego pacjenta, a potem spróbujemy się trochę przekimać – powiedział Hamish, wstając. – W plecaku są dwa srebrne kosmiczne koce. Wyjmij je. Nad ranem może być chłodno. – Wskazał głową na przesiąkający krwią bandaż. – Mam nadzieję, że nam się do rana nie wykrwawi.

– Nie należałoby mu podać jakiegoś środka zwiększającego krzepliwość? – zapytała.

– Podalem, opatrując ranę. Dzięki Lucky’emu cały szpital wie o chorobie von Willebranda o wiele więcej niż większość lekarzy niespecjalistów, ale ja nie wiem o niej tyle, ile bym chciał. Wiem tylko, że niektóre koagulatory jednym hemofiliikom pomagają, innym nie. Zależy od składnika krwi, którego danej osobie brakuje...

Urwał i westchnął, ale Kate rozumiała jego dylemat.

– Rozumiem, nie chcesz ryzykować – dokończyła za niego.

– Że też ten Digger nie zostawił mu jego torby. Na pewno miał w niej jakiś lek koagulacyjny.

– Chyba że nie wiedział, że ma von Willebranda. Niektórzy nie wiedzą, że są chorzy, prawda?

Hamish kiwnął głową. Liczył oddechy. Był pewien, że ich pacjent, pomimo krwotoku, przeżyje noc. Nie miał tylko pewności, co nastąpi później. Lucky był szczęściarzem, ale jego matki, Megan, i jej rodziny życie przez ostatnie lata nie rozpieszczało, i tylko tego by brakowało, by teraz, kiedy sprawy zaczynały się im układać, ojciec Lucky’ego trafił za kratki.

Hamish zapatrzył się w mrok. Pomysł Kate, by ująć bydlarzy, wydał mu się nagle całkiem sensowny... a jednocześnie bardzo głupi.

Obudził ją jakiś szelest. Kiedy spała, Hamish musiał wyłączyć lampę, bo pod skalnym nawisem było ciemno choć oko wykol. Leżała przez chwilę, jakby kij połknęła, zdając sobie sprawę, że srebrny koc, którym była opatulona, przy najdrobniejszym ruchu zaszeleści. A tam, w mrokach nocy, ktoś – albo coś – się skrada.

– Ciii! – usłyszała obok siebie. Jak dobrze wiedzieć, że Hamish też nie śpi. Z drugiej strony, co by to była za pociecha, gdyby się okazało, że podchodzi ich jakiś uzbrojony bandzior. – Spójrz!

Wyteżyła wzrok i w plamie bladej księżycowej poświaty zobaczyła rodzinę kangurów – samca, samicę i młode.

– Skalne kangury – szepnął Hamish.

– Nie wiedziałam, że są nocnymi zwierzętami – mruknęła Kate, zafascynowana tą trójką.

– Świt już blisko. Będą szukały pożywienia, dopóki słońce jeszcze mocno nie przygrzewa, a resztę dnia spędzą gdzieś w cieniu.

I w tym momencie huknął strzał zwielowrotniony przez echo. Dwa kangury czmychnęły w popłochu, trzeci padł. Długie zadnie nogi drgnęły mu dwa razy, potem znieruchomiał.

– To Todd! Gdzieś tu jest. To ostrzeżenie. Jackowi głos łamał się ze strachu.

– Wracaj! – krzyknął Hamish do Kate, która pochylała się nad trafionym zwierzęciem. Dopadł do niej w dwóch susach, porwał na ręce i zaniósł do niszy. – Idiotko! Wystawiłaś się mu jak na strzelnicę. Zwariowałaś?

– Mógł jeszcze żyć, biedaczek.

Kate nie mogła uwierzyć, że wilgoć spływająca jej po policzkach to łzy. Nie płakała, kiedy usłyszała od Billa, że jest adoptowana. Nie płakała, kiedy dowiedziała się o Danielu i Lindy. Nie płakała, nawet kiedy okazało się, że jeden głupi tydzień, a zdążyłaby poznać swoją biologiczną matkę. Dlaczego więc płacze teraz nad zabitym kangurem?

– Sprawdzimy później. – Hamish wciąż ją trzymał, ale już delikatniej, głaszcząc po głowie i powtarzając te słowa. – Sprawdzimy później, kiedy przyleci helikopter. Jeśli jest tylko ranny, zabierzemy go, ale doświadczeni łowcy kangurów strzelają, żeby zabić.

– On nas wszystkich powystrzela! – zawołał spanikowany Jack.

Kate odsunęła się od Hamisha, otarła dłonią twarz i uklękła przy rozgorączkowanym pacjencie, próbującym uwolnić się od rurek kroplówki.

– Chce nas tylko nastraszyć – powiedział Hamish.

– To już mu się udało – zauważyła Kate, ściskając Jacka za rękę. – Co ma w planie dalej?

– Wątpię, że chce mieć na sumieniu trzy trupy. Nie zdążyłby zatrzeć śladów. Słyszał wczoraj helikopter i wie, że maszyna wróci po nas o pierwszym brzasku. Według mnie ten strzał był dla Jacka ostrzeżeniem, żeby trzymał język za zębami.

– Tak jakbym nie trzymał! – burknął roztrzęsiony Jack.

– Znalazłeś miejsce, skąd będzie można wciągnąć Jacka do helikoptera? – zwróciła się Kate do Hamisha.

– Znalazłem. Całkiem niedaleko. Za chwilę się rozwidni i Rex wystartuje. Kiedy znajdzie się nad wąwozem, nawiążemy z nim kontakt przez radio i powiem mu, żeby podjął odpowiednie kroki, bo mamy tutaj osobnika, który nie żywi wobec nas przyjaznych zamiarów. Ale jestem przekonany, że ten Todd oddał strzał tylko po to, żeby przestraszyć Jacka, a potem się wycofał.

– Że też nie umarłem! – jęknął Jack. – Trzeba wam było mnie zostawić.

– Jeszcze raz z czymś takim wyjedziesz – ofuknęła go Kate – a przysięgam, że własnoręcznie cię wykończę. Zastanów się tylko, jaka piękna przygoda cię spotkała. W przyszłości będziesz miał co opowiadać wnukom. Jak myślisz, ilu młodych ludzi w twoim wieku może się pochwalić, że do nich strzelano, schronili się w wąwozie, a potem z odsieczą przybyli im... – Spojrzała na Hamisha. – Może Batman i Robin, co ty na to? Sfrunęli z nieba swoim Bathelikopterem. Ja jestem Batman!

Hamish, który kłęczał na ziemi i składał nosze, zerknął na nią z uśmiechem.

– Z czego wnioskuje, że mnie przypada rola Robina?

– Robinem może być Jack, a ty kamerdynerem, który odbiera telefony w rezydencji.

– To nie w porządku – zaprotestował Hamish, przysuwając zmontowane już nosze do pacjenta. – Ja też przyleciałem, a więc powinienem być Robinem.

– Nie potrzebuję tego. Mogę chodzić, albo skakać na jednej nodze, jeśli mnie

podtrzymanie – zaprotestował Jack, siadając, i... krew odpłynęła mu z twarzy.

– Na to jeszcze za wcześnie – orzekła Kate, układając go z powrotem na poduszce. – Łatwiej nam będzie, jeśli cię poniesiemy. I łatwiej będzie cię wciągnąć przywiązanego do noszy.

Przenieśli chłopca na nosze i wprawnie pozapinali paski upręży zabezpieczającej. Kate zerknęła spod oka na Hamisha. Łatwo było sobie wmawiać, że jakakolwiek strzelanina na tym etapie ściągnęłaby do wąwozu całą policję Queenslandu, a więc Todd nie będzie taki głupi, by brać ich teraz na muszkę.

Trudniej jednak było w to uwierzyć.

Jak bardzo zależy Toddowi na chronieniu swojej tajemnicy? Do czego jest gotów się posunąć?

ROZDZIAŁ TRZECI

Transport powietrzny, choć z kilkugodzinnym opóźnieniem, doszedł w końcu do skutku. Rex kazał im pozostać w niszy do czasu przybycia helikoptera z oddziałem uzbrojonych policjantów z Townsville. Dwóch z nich opuszczono z maszyny na ziemię, by ze wzbudzającymi respekt karabinami eskortowali Hamisha, Kate i Jacka do miejsca ewakuacji. Kiedy znaleźli się na pokładzie śmigłowca z Crocodile Creek, helikopter policyjny odleciał na rekonesans.

– Teraz cały cywilizowany świat dowie się, że mam kłopoty – mruknął Jack do Kate, kiedy godzinę później pod czujnym okiem telewizyjnych kamer wynosili go z helikoptera w Crocodile Creek – Wątpię, czy cały – odparła Kate. – Co najwyżej Queensland Północny, a i to jedynie w przypadku, kiedy nie będą już mieli niczego ciekawszego do pokazania. Tego rodzaju materiał nigdy nie trafia do krajowych dzienników. Kręcą go tylko dla miejscowej stacji.

– Żadna pociecha – burknął Jack. – Moja matka i bracia są miejscowi.

Zamknął oczy, tak jak to robił w wąwozie. Kate, choć była zmęczona, zrobiło się go żal. Wzięła go za rękę.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała. – Jakoś to wspólnie załatwimy. Nie jesteś sam. Nawet jeśli rodzina się od ciebie odwróci, to ja i Hamish nie opuścimy cię w potrzebie.

Zerknęła na mężczyznę, w którego imieniu złożyła tę obietnicę. Zamieniwszy kilka słów z sanitariuszami odbierającymi nosze z helikoptera, oddalił się. Teraz, niczego nieświadomy, rozmawiał na skraju lądowiska z człowiekiem w wózku inwalidzkim.

Trzymając wciąż za rękę wiezionego na noszach Jacka, oddalała się coraz bardziej od tamtej pary.

– Ty jesteś pewnie Kate! – zawołał z daleka przystojny mężczyzna o płomiennorudych włosach, który szedł im na spotkanie od strony szpitala. – Cal Jamieson – przedstawił się, ściskając jej dłoń. – Chirurg. Będę wydłubywał tę kulkę z nogi waszego pacjenta.

Przywitał się z Jackiem i kazał sanitariuszom wieźć go najpierw na oddział zabiegowy. Mężczyźni wtoczyli nosze na szeroką werandę, a tam skręcili w drzwi po prawej. Znaleźli się w długim, jasnym pomieszczeniu z kilkoma pokojkami zabiegowymi oddzielonymi od siebie zasłonkami.

Kate odpięła paski zabezpieczające i sanitariusze przenieśli Jacka na stół.

– Obejrzymy tu sobie dokładnie ranę – wyjaśnił Jackowi Cal, a potem, spoglądając na Kate, dorzucił: – Jeśli chcesz, możesz zostać, poznać część personelu, ale sądzę, że na pierwszym miejscu stawiasz teraz kąpiel i łóżko.

– Czy w ten taktowny sposób dajesz mi do zrozumienia, że śmierdę? – Kate uniosła ramię i powąchała rękaw T-shirta. Nie było tak źle, zważywszy okoliczności.

Cal roześmiał się.

– Skądże znowu. Po prostu wiem, jak czuje się człowiek po spędzeniu nocy w terenie pod gołym niebem.

– Zostań ze mną, Kate – odezwał się Jack. – Przecież obiecałaś.

– Nie obiecywałam nieodstępowania cię na krok – odrzekła. – Ale ten jeden raz zostanie do czasu, kiedy doktor Jamieson zabierze cię na salę operacyjną. Potem pójdę do domu wziąć prysznic i wrócę, zanim wybudzisz się z narkozy. To znaczy, jeśli mam dzisiaj dyżur.

– Myślę, że resztę tego dnia ci podarują – wtrącił Cal. – Obecna tu Jill Shaw, przełożona pielęgniarek, na pewno to potwierdzi. Jill, przedstawiam ci Kate Winship, naszą nową pielęgniarkę i lokalną bohaterkę.

– Ależ ja nie jestem żadną bohaterką! – zachnęła się Kate.

– Jak się masz. – Jill uścisnęła jej rękę. – Witaj w Crocodile Creek. Dzisiejszy dzień masz dla siebie na zaaklimatyzowanie się. Jutro pojedziesz może służbowo do Wygery. Przy okazji rozejrzałybyś się po okolicy i poznała tam tego i owego.

Jill pochyliła się nad Jackiem i cicho coś do niego powiedziała. Czyżby go znała?

– Wujek Charles mnie zabije! – zaprotestował Jack.

A więc podejrzenia Hamisha były słuszne, pomyślała Kate.

– Nie przesadzaj z tym dramatyzowaniem – rzekła Jill, uśmiechając się do młodzieńca. – Poza tym on zajmuje się ratowaniem ludzi, a nie ich uśmiercaniem. Owszem, popadłeś w tarapaty, ale Charles i Philip staną za tobą murem. Przecież wiesz.

– Charles może i tak, ale Philip na pewno nie – mruknął Jack.

– Wiesz co? – wtrącił Cal. – Proponuję wyjąć najpierw ten pocisk z twojej nogi, a potem martwić się, kto kogo zabije. – Powitał skinieniem głowy młodą kobietę, która wtoczyła do pokoju aparat rentgenowski. – Prawe udo, widok od góry i z boku. A paniom dziękujemy.

Kate jeszcze raz uścisnęła dłoń Jacka i opuściła za Jill pokój.

– On naprawdę obawia się konsekwencji tego, w co się wplątał – zwróciła się do przełożonej.

– I ma powody – odparła Jill. – Hamish rozmawiał z Charlesem przez radio z pokładu helikoptera. Kradzieże bywała, jeśli to w ten proceder się wdał, to w naszych stronach poważna sprawa. Zapadają coraz wyższe wyroki. O, jest Charles.

Kate obejrzała się. Zbliżał się do nich mężczyzna na wózku inwalidzkim.

– Jestem pani bardzo wdzięczny – oznajmił, wyciągając rękę. – Charles Wetherby.

– Kate Winship – przedstawiła się. – Nie ma za co. Wykonywałam tylko swoje obowiązki.

– I to wzorowo, jak słyszałem – powiedział Charles z ciepłym uśmiechem. – Dziękuję, Kate. Rzadko ostatnio widywałem Jacka, ale w dzieciństwie przyjeżdżał tu często na wakacje i bardzo go polubiłem.

Nie wiedziałem, że pracował w Wetherby Downs, a co dopiero o tym, że poróżnił się z Philipem i stamtąd odszedł. Głupi, powinien był zwrócić się do mnie. Znalazłbym mu inną pracę.

– Mógł się obawiać, że weźmiesz stronę brata.

– Na dźwięk głosu Hamisha Kate podniosła wzrok. Stał za Jill. Musiał wejść innymi drzwiami. – Kate, a ty jeszcze tutaj! – zwrócił się do niej z uśmiechem.

– Myślałem, że poszłaś się już rozpakować.

– Obiecałam Jackowi, że zostanę, dopóki nie zabrają go na operację – wyjaśniła Kate.

Do pomieszczenia weszła ładna młoda kobieta z długim czarnym warkoczem.

– Cześć, Alix – zwrócił się do niej Hamish.

– Pozwól, że ci przedstawię Kate Winship, naszą nową pielęgniarkę. Kate, to nasza patolog, Alix Armstrong.

– Witaj w Crocodile Creek – powiedziała Alix.

– Chętnie posłucham potem o waszej przygodzie w wąwozie, ale teraz muszę ustalić z Calem, co będzie mu potrzebne podczas operacji.

– Alix ma bzika na punkcie buszu – wyjaśnił Charles, zwracając się do Kate. – Cały wolny czas poświęca na wędrówki po nim.

Kate wzdrygnęła się na samo wspomnienie tej nocy. Hamish chyba to zauważył, bo położył jej dłoń na ramieniu.

– Zajrzę do Jacka, zanim go zabrają – powiedziała, czym prędzej się od niego odsuwając.

Na ostatnim stopniu schodków prowadzących na werandę domu siedział chłopczyk do złudzenia przypominający Cala. Obok, rozplaszczony niczym dywanik przed kominkiem, leżał najdziwniejszy pies, jakiego Kate w życiu widziała. Skrzyżowanie cocker-spaniela z czymś nakrapianym, orzekła, uśmiechając się do chłopca i psa.

– Cześć, jestem Kate. A wy?

– Ja jestem CJ, a to Rudolph. Ukrywam się.

– Tak też sobie pomyślałam – rzekła wesoło Kate. – Przed kimś konkretnym?

– Powinienem teraz być w tym głupim przedszkolu, ale Rudolph przyszedł tam i siedział tak długo, że postanowiłem odprowadzić go do domu. Ale on nie chce zostać w domu sam, no to z nim siedzę.

– Rozumiem – mruknęła Kate, niezupełnie zgodnie z prawdą. – A opiekunki z przedszkola nie będą się o ciebie martwiły?

– Nawet nie zauważą, że mnie nie ma, bo mnie nie znają. Jestem nowy. Albo pomyślą, że zachorowałem.

– No to wszystko w porządku. – Kate wspięła się po schodkach i usiadła obok chłopca i psa.

Rudolph uniósł leniwie łeb, spojrzał jej sennie w oczy, opuścił łeb na jej nogę i znowu zasnął. Droga do przedszkola i z powrotem musiała go bardzo zmęczyć.

– Czekam na Hamisha, on będzie wiedział, co robić.

– O, na pewno – zgodziła się Kate.

Na szczęście wkrótce nad zaroślami pojawił się czubek głowy nadchodzącego Hamisha. Pies chyba go wyczuł, bo obudził się i zeskoczył z werandy z uśmiechem na psiej mordzie. Chłopiec pobiegł za nim. Zniknęli obaj za zakrętem ścieżki, by po chwili wyłonić się zza niego już w towarzystwie Hamisha.

– Widzę, że poznałaś już CJ-a? – zauważył Hamish, i Kate kiwnęła głową. – Znowu dał nogę z przedszkola – ciągnął Hamish, najwyraźniej nieprzejęty występkiem chłopca.

CJ usiadł z powrotem na schodku, a Hamish zajął miejsce między nim a Kate. Rudolph uznał to za niedopuszczalne i podjął kroki zmierzające do ułożenia się na kolanach całej

trójki.

– Sio! – przegonił go Hamish. – Siad!

Pies spojrzał na niego z zaskoczeniem, potem ze zdziwieniem na Kate, ale posłuchał.

– Uczę go siadać, tak jak mi mówiłeś – powiedział chłopiec, obejmując i całując zwierzaka. – To bardzo mądry pies, prawda?

– Prawda, mądry – przyznał Hamish. – Szkoda tylko, że będzie musiał zamieszkać gdzie indziej.

– Nie może mieszkać gdzie indziej! – zaprotestował chłopiec. – To mój pies!

Przytulił Rudolpha do piersi i posłał Hamishowi pełne wyrzutu spojrzenie sponad nakrapianego psiego łba.

Hamish kiwnął głową.

– Twój, ale jeśli nie przestanie sprawiać kłopotów, na przykład nakłaniać cię do uciekania z przedszkola, to twoja mama zwyczajnie go komuś odda.

CJ milczał przez chwilę, a potem wyrzucił z siebie:

– Oni się ze mnie śmieją.

– Kto? – spytał Hamish.

– Dzieci w przedszkolu. Mówią, że śmiesznie mówię.

– Cholerne bachory! – wymruczała pod nosem Kate. Owszem, chłopiec ma lekko amerykański akcent, ale czy to go czyni kimś gorszym? Pozwala piętnować? I takie rzeczy dzieją się już na poziomie przedszkola? Ile te dzieci mają lat? Cztery? Najwyżej pięć?

– Owszem, mówisz trochę inaczej, bo jesteś w połowie Amerykaninem, ale to wcale nie jest śmieszne – zauważył Hamish. – To tylko akcent, tak jak mój. Dzieci lubią sobie upatrywać kogoś, kto się spośród nich czymś wyróżnia, i potem mu dokuczać. Najlepiej nie zwracać na to uwagi. W końcu im się znudzi i znajdą sobie kogoś innego.

– Wtedy temu komuś innemu będzie przykro – zauważył chłopiec.

– A może byś tak zaimponował im swoją innością? – zasugerował Hamish, jakby puszczając mimo uszu tę ostatnią uwagę. – Pomyśl tylko, ile wspaniałych rzeczy pochodzi z Ameryki: statki kosmiczne, kosmonauci, filmy, które te dzieci na pewno widziały, nie wspominając już o programach telewizyjnych, które oglądają, i grach wideo, w które grają.

– To może im powiem, że mój tato jest kosmonautą?

– Do kłamstw nie radziłbym ci się uciekać – odparł Hamish. – Można się w nich łatwo zaplątać. Ale mógłbyś im powiedzieć, że kiedy dorośniesz, sam zamierzasz zostać kosmonautą. I na dowód mógłbyś zanieść do przedszkola jakieś materiały związane z kosmosem. Ale by zrobili oczy!

– Nie mam niczego związanego z kosmosem.

– Cał pomoże ci coś znaleźć. On wie wszystko o przestrzeni kosmicznej, o naszym układzie słonecznym i innych układach słonecznych. Poproś go, żeby ci pomógł.

CJ po chwili zastanowienia kiwnął głową.

– Cał dużo wie. Lubię go. Ale on jest w pracy, i mama też. Może ty odprowadziłyś mnie do przedszkola i powiedział pani opiekunce, dlaczego się spóźniłem?

– Dobrze, ale najpierw pójdziemy umyć twarz i ręce – odrzekł Hamish, i zwracając się do

Kate, dodał: – A ty przypilnuj, żeby Rudolph za nami nie pobiegł.

Kiedy odeszli, Kate przeniosła się ze schodków na starą sofę w głębi werandy. Rudolph, nie czekając na zaproszenie, usadowił się obok niej.

– Ty pewnie jesteś Kate? – zawołała z miękkim amerykańskim akcentem wbiegająca na werandę kobieta o bujnych kasztanowych włosach. – CJ jest z Hamishem? Jestem Giną, matka tego chłopca. Podobno znowu uciekł z przedszkola.

– Musiał odprowadzić do domu psa – wyjaśniła Kate.

Giną roześmiała się.

– Ten pies, gdyby tylko chciał, trafiłby i na Marsa – oznajmiła. – Zastanawiam się, czy to nie z powodu Cala. Po śmierci mojego męża CJ miał mnie tylko dla siebie, a teraz musi się mną dzielić z Calem. Z drugiej strony wyraźnie Cala lubi... – Westchnęła. – Sama nie wiem. Może powinnam rzucić pracę i zająć się nim, chociaż wiem, że długo w domu bym nie wytrzymała. A zresztą szpital potrzebuje kardiologa.

Urwała, by obdarzyć Kate szerokim uśmiechem.

– Boże, ależ ty masz cierpliwość! Ledwie przyjechałaś, a już porwano cię na akcję ratowniczą, potem do ciebie strzelano, potem zostawiono, żebyś pilnowała psa, teraz wywnętrza się przed tobą jakaś zupełnie obca baba... A ty siedzisz i to wszystko znosisz. Powiedz mi, żebyś spadała i nie zwracała ci głowy!

Kate rozbawiła jej bezpośredniość.

– Jestem na to za bardzo zmęczona – powiedziała. – Dawno bym już spała, ale boję się, że jak raz zasnę, to obudzę się dopiero po dwudziestu czterech godzinach, a obiecałam Jackowi, temu młodemu mężczyźnie, którego przywieźliśmy, że będę przy nim, kiedy wróci z sali operacyjnej. Nie pozostaje mi nic innego, jak pilnować psa i słuchać kogoś, kto chce się wygadać.

– Dzięki. – Giną uścisnęła ją. – Ale jednak idź się położyć. Obiecuję, że kiedy skończy się operacja, przybiegnę cię obudzić. Masz już swój pokój?

– Mam, ale muszę się jeszcze rozpakować... – Kate spojrzała podejrzliwie na Ginę. – Na pewno mnie obudzisz?

– Słowo! – przyrzekła Giną. – My z Calem mamy w tym domu coś w rodzaju mieszkania od strony szpitala – wyjaśniła. – Są tu dwa takie, nasze dwupokojowe i drugie jednopokojowe. To drugie zajmują Mike z Emily, ale oni już tu długo nie pomieszkają. Rodzice Mike'a budują im chałupkę obok swojego domu i restauracji. To po drugiej stronie zatoki.

– Ty z Calem, Mike z Emily... Czy to ma coś wspólnego z epidemią miłości, która według Hamisha szaleje w Crocodile Creek?

Giną roześmiała się.

– Można to tak nazwać. Twoje szczęście, że Christina z Joem wyjechali do Nowej Zelandii, bo miałybyś tu trzy gruchające parki. To na razie. A tym tutaj ja się już zajmę. – Giną zabrała psa i weszła do domu.

Kate siedziała jeszcze jakiś czas na werandzie, potem poszła w jej ślady.

Hamish zapukał i uchylił cicho drzwi. Kate leżała na łóżku w ubraniu, spała jak zabita, wyglądała ślicznie. Odprowadziwszy CJ-a do przedszkola, zadzwonił do szpitala. Giną podziękowała mu za zaopiekowanie się synkiem, a potem poprosiła, by obudził Kate i powiedział jej, że Jacka przenoszą wkrótce na salę pooperacyjną.

– Kate! – zawołał od progu.

Ani drgnęła. Wszedł do pokoju i zbliżył się do łóżka.

– Kate! Obudź się.

Potrząsnął ją delikatnie za ramię. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się półprzytomnie.

– Jack się wybudził? – Usiadła, spuściła nogi na podłogę i wcisnęła stopy w purpurowe sandały w kwiatki. – Dzięki, że mnie obudziłeś.

Tylko tyle? Dzięki, że mnie obudziłeś? Ale prawdę mówiąc, czego się spodziewał? Reakcji Śpiącej Królowy po pocałunku Księcia? Kręcąc głową, wyszedł z pokoju. To tylko sympatia, o żadnym zakochaniu się nie może być mowy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W izbie przyjęć, do której zaszła, by zapytać kogoś, jak trafić na salę pooperacyjną, zastała tylko opartego o ścianę wysokiego policjanta o zimnych szarych oczach i puszystych czarnych włosach. Uśmiechnął się do niej, ona do niego. Z pokoju obok recepcji wyszła pielęgniarka. Z przypiętej do fartucha plakietki wynikało, że ma na imię Grace. Ona też uśmiechnęła się do Kate.

– Do sali pooperacyjnej tymi drzwiami, potem korytarzem w lewo i pierwsze drzwi po prawej – wyjaśniła.

– Czy wszyscy w tym mieście wiedzą, kim jestem? – spytała Kate.

– Drobną, ciemnowłosa. Nie ma takiej drugiej w tym szpitalu – odparła Grace i przedstawiła się. – Harry – tu wskazała głową policjanta – też chce jak najszybciej zobaczyć się z Jackiem. Może byś go ze sobą zabrała?

Kate spojrzała na policjanta. Nie uśmiechał się już, ale ona też nie.

– Teraz chce się pan z nim widzieć? Znajduje się na pewno w strasznym stanie, dopiero co przeszedł operację. To chyba nie wypada.

– Może i nie wypada – przyznał policjant – ale w okolicy grasuje ktoś z bronią palną i nie wiadomo kiedy, gdzie ani przeciw komu jej użyje. Im szybciej czegoś się o nim dowiemy, tym lepiej dla wszystkich. Kate nie mogła się nie zgodzić z tą hipotezą, ale w praktyce, jeśli ten człowiek zacznie przesłuchiwać Jacka...

– Mieszka pan tutaj? – spytała, kiedy szli do sali pooperacyjnej korytarzem wskazanym przez Grace.

– Z dziada pradziada – odparł, otwierając przed nią drzwi. – Moja rodzina miała tu od pokoleń cukrownię.

A więc może jej pomóc w zbieraniu informacji o biologicznych rodzicach.

Jack nie tylko nie czuł się najlepiej fizycznie, ale był również rozstrojony emocjonalnie. Obok łóżka stała ładna kobieta o włosach koloru miodu i szaroniebieskich oczach i śledziła wskazania monitorów, do których go podłączono.

– Cześć, jestem Emily – powiedziała, tylko na chwilę odrywając wzrok od ekranu.

Kate kiwnęła głową i podbiegłszy do łóżka, ścisnęła Jacka za rękę.

– Myślałem już, że nie przyjdiesz – wymamrotał, a Kate zobaczyła w jego oczach łzy.

– Wybudziłeś się z narkozy szybciej, niż się spodziewałam – rzekła tonem usprawiedliwienia. – Twardziel z ciebie.

Zamrugał, uśmiechnął się i chyba dopiero teraz dostrzegł stojącego za Kate Harry'ego, bo poblądł i zamknął oczy. Zanim jednak Harry zdążył zadać pierwsze pytanie, z odsieczą przybyła kawaleria.

Do sali wjechał na wózku inwalidzkim Charles we własnej osobie, za nim weszli Jill i Cal.

– Wybacz, Harry, ale zmuszeni jesteśmy cię stąd wyprosić – oznajmił Charles nieznośnym sprzeciwu tonem. – W trakcie operacji wyszły na jaw nieoczekiwane

komplikacje. Musimy przeprowadzić dodatkowe badania i jak najszybciej skonsultować się ze specjalistą. Przypuszczam, że jeszcze dzisiaj, a najdalej jutro trzeba będzie chłopaka ponownie operować. Kate, Cal naświetli ci sytuację. Cal, zabierz Kate na kawę. Ja z Jill zaczekamy tu, aż wrócicie.

Harry wyszedł bez słowa protestu, Cal z Kate za nim.

– Czy Charles zrobił to tylko po to, żeby nie dopuścić do przesłuchania, czy naprawdę są jakieś problemy? – spytała Kate, kiedy znaleźli się na korytarzu.

– Naprawdę – odparł ponuro Cal. – I to niebagatelne. Tutaj.

Otworzył przed nią drzwi prowadzące do sporej jadalni. Zapach kawy i gorących posiłków przypomniał Kate, że od dawna nie miała nic w ustach.

– Zjesz coś? Mamy tu potrawy na gorąco, a w lodówce sałatki i kanapki.

Chociaż zbliżała się pora kolacji, Kate zdecydowała się na kanapkę, Cal tymczasem zaparzył kawę. Kiedy siadali przy stoliku, wszedł Hamish.

– Podobno są jakieś problemy – powiedział, dosiadając się do nich i spoglądając pytająco na Cal.

Cal westchnął.

– Pocisk utkwił w kości. A konkretnie w trochanterze. – Zerknął na Kate. – To główka kości udowej w kształcie kuli, która wchodzi w staw biodrowy – wyjaśnił.

– I nie obejdziesz się bez ortopedy? – spytał Hamish. Cal kiwnął głową.

– Czyli trzeba będzie przetransportować Jacka śmigłowcem do Townsville.

Cal pokręcił głową.

– Charles chce tego uniknąć. Mówi, że mamy tutaj wszystko, czego trzeba, a podróż jeszcze bardziej by chłopaka osłabiła. Naprawdę źle z nim. Wdała się infekcja, ma dreszcze, ale według mnie to tylko pretekst. Cholera, ale to się pokomplikowało!

Cal zamieszał kawę i postukał łyżeczką o kubek.

– Charles obawia się pewnie, że gdyby Jack znalazł się w Townsville, to tamtejsza policja mogłaby go aresztować – zasugerował Hamish, odbierając Calowi łyżeczkę i odkładając ją na stół.

– Aresztować? – zachnęła się Kate. – Za co? Do niczego się jeszcze nie przyznał. Wiadomo jedynie, że został postrzelony. Reszta to tylko przypuszczenia.

– Nie, Hamish ma rację. Taka możliwość istnieje. Okazuje się, że policja federalna powołała specjalną grupę operacyjną do rozpracowania zorganizowanej bandy złodziei bydlą grasującej w tym rejonie – wyjaśnił Cal. – Przed kilkoma miesiącami jeden z oficerów wchodzących w skład tej grupy podjął próbę infiltracji bandy, i w zeszłym tygodniu znaleziono jego ciało... w stanie daleko posuniętego rozkładu, z kulą w klatce piersiowej. Jeśli okaże się, że ten pocisk wystrzelono z tej samej broni co pocisk tkwiący w nodze Jacka, będzie to wystarczający powód, żeby policja zatrzymała chłopaka do wyjaśnienia.

– Ale on się przecież sam nie postrzelił. Strzelcem był ktoś inny – zaprotestowała Kate.

– Jestem pewien, że Charles bierze to wszystko pod uwagę – przyznał Cal. – Zapewne uważa, że będzie miał większą kontrolę nad sytuacją, jeśli Jack zostanie tutaj, a śledztwo poprowadzi Harry. Ale tu nie chodzi tylko o policję. Chłopak jest siostrzeńcem Charlesa i

Charles będzie chciał mieć na niego oko. Głupi wypadek z bronią w dzieciństwie przykuł Charlesa do wózka inwalidzkiego i założył się, że ostatnie wydarzenia obudziły w nim wspomnienia. Ten wypadek zapoczątkował waśń między rodzinami, i może właśnie przez to Jack popadł teraz w tarapaty. Tak więc Charles będzie chciał zatrzymać go przy sobie.

– Przecież Jack ma rodziców. Oni nie mają tu nic do powiedzenia? – spytała Kate.

– Z tego może być jeszcze jedna awantura – odparł Cal. – Charles musi ich powiadomić, że chłopak został ranny, a jeśli usłyszą, że przewozimy go do innego szpitala, zażądają pewnie, żeby przywieźć go do Sydney, do najlepszych specjalistów.

– Ale jeśli Jack znajdzie się w Sydney, a Megan zostanie tutaj, to ich związek pewnie na dobre się rozpadnie.

Cal kiwnął głową.

– No właśnie! I to jest jeszcze jeden powód, dla którego naprawdę powinniśmy dołożyć wszelki starań, żeby go tu zatrzymać.

– A więc jakie jest wyjście? – spytał Hamish, zwracając się do Cala. – Podejmiesz się przeprowadzenia tej operacji? Czujesz się na siłach? Cal zawahał się.

– Podjąłbym się, ale pod kierunkiem specjalisty. Charles próbuje to teraz zorganizować. Ma w Brisbane przyjaciela, chirurga ortopedę. Gdybyśmy zatem zainstalowali kamerę wideo i obraz z niej przekazywali poprzez łącze komputerowe do tego znajomego Charlesa, to facet mógłby praktycznie kierować moimi rękami.

– Masz w tym doświadczenie? – spytał Hamish. Cal kiwnął głową.

– Gorsza sprawa, że ten chirurg z Brisbane jest w tej chwili w sali operacyjnej i ma dzisiaj jeszcze kilka operacji. Może się okazać, że czas dla nas znajdzie dopiero o północy.

– Czyli nocny dyżur dla całego personelu – stwierdził Hamish. – Z powodu von Willebranda będziesz pewnie chciał mieć pod ręką Alix, no i Emily do narkozy... Chcesz, żebym ci asystował?

Cal uśmiechnął się.

– Chyba bardziej się przydasz jako opiekun do dziecka. O ile znam Ginę, uprze się, żeby asystować. Wiem, że to nie chirurgia serca, ale od kiedy usłyszała, że znaleźliście ojca Lucky'ego, aż popiskuje, żeby też się w to jakoś zaangażować.

Kate skończyła kanapki, dopiła kawę i wstała.

– Skoro mowa o opiece, to ja wracam do Jacka.

– Śpi, i ty też powinnaś – rzekł Charles, kiedy weszła do sali pooperacyjnej, w której leżał Jack.

– Coś mi mówi, że powinnam zostać – odparła, ale Jill stojąca po drugiej stronie łóżka Jacka pokręciła głową.

– Musisz się przespać, zdrowy rozsądek to podpowiada.

Kate dała za wygraną. Wchodząc do domu, usłyszała gwar głosów dochodzący z kuchni.

– Oto ona, wybrana jednogłośnie recenzentka – obwieścił ktoś.

Kate rozejrzała się bezradnie po twarzach obcych sobie ludzi i z ulgą wypatrzyła wśród nich Ginę.

A zaraz potem jej syna.

CJ z jeszcze jednym małym chłopcem wycinali coś i sklejali w kącie kuchni, przy drzwiach prowadzących na werandę. Asystował im Rudolph.

– Jaka recenzentka? – powtórzyła łamiącym się głosem. O czym oni, u licha, mówią?

Gina zlitowała się nad nią, podeszła i przedstawiła Mike'owi – pilotowi helikoptera z uprawnieniami ratownika, o którym wspominał jej Hamish – oraz pielęgniarce Marcii. Potem szpitalnej psychoterapeutce Susie, ładnej kobiecie o ściętych krótko jasnych włosach i niebieskich oczach, oraz Georgie Turner, uderzająco pięknej kobiecie o również krótkich, ale czarnych włosach i długich nogach opiętych obcisłymi dżinsami. Listę nowo poznanych osób zamykał mężczyzna imieniem Brian – administrator szpitala.

– Biedna Kate – powiedziała Georgie, kiedy prezentacja dobiegła końca. – Założę się, że nie słyszała nawet o Wygerze, o basenie już nie wspominając. A my tu ją wybieramy na recenzentkę projektów.

– Recenzentkę projektów? Jestem pielęgniarką, nie architektem.

Wszyscy się zaśmiali.

– Architekt nam niepotrzebny. No, przynajmniej na razie. Szukamy osoby bezstronnej, kogoś, kto nie wie nic o mieszkańcach Wygery i wybierze model albo projekt, który następnie prześlemy do opracowania architektowi.

Kate chciała już zaprotestować, że najlepszym recenzentem byłby właśnie architekt, ale Suzie nie dała jej dojść do słowa.

– My spieramy się od wieków i nie możemy się zdecydować. Postanowiliśmy zdać się na ciebie, bo po pierwsze nie znasz nikogo i nie można cię posądzić o stronniczość, a po drugie, jedziesz tam jutro służbowo.

Rada nierada, Kate zgodziła się dostąpić tego wątpliwego zaszczytu i ocenić projekty, które wpłynęły na konkurs basenu dla Wygery.

– Czy jest przewidziana jakaś nagroda? – spytała tylko, siadając na krześle, które podsunął jej Mike.

– Będę musiała coś komuś wręczać?

– Główną nagrodą jest darmowy wstęp na rodeo – wyjaśnił Mike. – A firma, która na wszystkich tego typu imprezach handluje strojami i sprzętem rodeo, ufundowała dodatkowo dla zwycięzcy kowbojską koszulę i kapelusz.

– My chcemy wygrać kapelusz – oznajmił CJ, odrywając się od swojego zajęcia. – Ja już mam, a Max nie.

– Max to mój syn – wyjaśniła Georgie, ale wszyscy rozmawiali już o zaplanowanym na wieczór barbecue.

Rozdzielono między siebie zadania i towarzystwo się rozeszło. Gina, Susie i Marcia, które zostały w kuchni, zaczęły wyciągać ze starej lodówki produkty do sałatek.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała Kate.

– Nie, nie. – Brian ujął ją pod łokieć. – My chodźmy do szpitala. Oprowadzę cię po nim, a przy okazji dokończymy formalności związane z twoim zatrudnieniem.

Kiedy wrócili ze szpitala, barbecue na werandzie trwało już w najlepsze. W powietrzu

wisiał aromat grillowanego mięsa, a skwierczenie smażącej się cebuli pobudzało apetyt Kate.

– Ślina napływa mi do ust, bo na śniadanie zjadłam jednego sucharka, a na spóźniony lunch dwie kanapki – powiedziała Kate do Briana, który wprowadzał ją po schodkach na werandę, obejmując wpeł.

Na ostatnim stopniu uwolniła się od niego i podeszła do Hamisha rozmawiającego z Calem.

– No i co, zwiedziłaś szpital? – spytał Hamish.

– Tak, ale mam teraz mętlik w głowie – odparła i poczuła na plecach czyjaś dłoń. Obejrzała się. Za nią stał Brian. – Jest większy, niż myślałam. Przez najbliższy tydzień będę błędziła.

– Nie będziesz – pocieszył ją Cal. – Zagładałaś do Jacka?

– Jeszcze spał i był przy nim Charles, więc nie wchodziłam. Kiedy operacja? Wiadomo już coś?

Cal wzruszył ramionami.

– Między dwudziestą drugą a północą – odparł. – Coś więcej będziemy wiedzieli o dziewiątej, bo wtedy ten chirurg z Brisbane przystępuje do operowania ostatniego na dzisiaj pacjenta.

Brian wysunął się z za niej i zapytał, czyby się czegoś napiła.

– Byle bezalkoholowego, mało spałam – odparła Kate, pewna, że chociaż na chwilę się go pozbędzie.

Ku jej zaskoczeniu Brian zwrócił się do Hamisha:

– Hamish, przynieś Kate jakiegoś soczku. Hamish i Cal popatrzyli po sobie zdumieni, ale Hamish posłuchał i oddalił się. Brian, wyczuwając chyba, że palnął gafę, wyjaśnił:

– Nie mieszkam tutaj, nie wypada więc, żebym buszował wam po kuchni.

Powód był do zaakceptowania, ale Kate drażniło, że Brian przyczepił się do niej jak rzep do psiego ogona. Pragnąc rozładować jakoś atmosferę, zapytała Cala, co czeka Jacka.

– A co, chcesz popatrzeć na operację? Kate wzdrygnęła się.

– Asystowałam przy paru, ale od ortopedycznych odstęczył mnie na całe życie zgrzyt piły.

– Poza tym ona musi się wreszcie wyspać – wtrąciła Gina, podchodząc do nich z Hamishem, który niósł sok cytrynowy. – Bo jutro czeka ją ocenianie projektów basenu.

Hamish wręczył Kate drinka, po czym wziął Briana pod rękę i odciągnął go na bok, a Gina szepnęła Kate na ucho:

– Brian odstawia ten numer z każdą zatrudnianą u nas kobietą, a Hamish uznał, że może wrodzony takt nie pozwala ci się wywinąć z jego lubieżnych macek.

Hamish tak uznał, doprawdy?!

Kate miała już na końcu języka: „A kto mu dał prawo do decydowania w moim imieniu?”, lecz w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że sama dała mu to prawo, oświadczając, że nie jest zainteresowana żadnym związkiem.

Giną zaproponowała, by usiadły, zanim wszystkie krzesła zostaną zajęte.

– Nie ma niczego gorszego od jedzenia steku na stojąco – orzekła. – Poza tym, kiedy

będziemy siedziały, ktoś nas może obsłuży. Nie uśmiecha ci się chyba stać w kolejce do stołu z sałatkami.

Komuś się jednak uśmiechało – Hamish przyniósł dwa kopiaste talerzyki mięsa i dodatków.

– CJ je z Maxem i Georgie, a Cal zaprasza nas do stolika na końcu werandy – powiedział, a potem dodał znacząco: – Są tam tylko cztery krzesła.

Stolik, który zajął Cal, stał za starą kanapą – roztaczał się stamtąd przepiękny widok na zatokę. Księżyc właśnie wzeszedł i przywodził na myśl spłaszczoną, zawieszoną nad widnokregiem złotą latarnię, która rzuca na morze promień światła.

– Piękny widok, co? – zauważył Cal. Kate pokręciła głową.

– Aż się wierzyć nie chce – wyszeptała.

– Z niego właśnie słynie Crocodile Creek – dorzucił Hamish. – Będzie mi go brakowało, kiedy wrócę do kraju.

– Wyjeżdżasz?

Kate powiedziała to głośniejszym głosem, niż zamierzała.

– Za niecałe trzy tygodnie – odrzekł za Hamisha Cal.

Do stolika podszedł Brian z pełnym talerzykiem w ręce. Z kieszeni wystawały mu sztucce, ciągnął za sobą krzesło.

– Już myślałem, że mi gdzieś zginęłaś – zwrócił się do Kate, wpasowując się ze swoim krzesłem między nią a Ginę. – Piękny księżyc, co? Może po posiłku przejdziemy się na cypel. Spaceruję często po kolacji. Lepiej potem śpię.

– Kate i bez spaceru oczy się kleją – powiedział Hamish. – Mielśmy wczoraj ciężką noc, a cały dzisiejszy dzień spędziła przy Jacku.

Kate przechwyciła spojrzenie, jakim Hamish obrzucił Briana. Czyżby go nie lubił? Tak czy inaczej, nie pozwoli mu podejmować decyzji za siebie.

– Chętnie się przejdę – powiedziała, bardziej do stolika niż do Briana.

– No i dobrze – podchwyciła Ginę. – Wszyscy pójdziemy.

I tak oto, na spacerze w świetle księżycy z Brianem, Hamishem, Calem, Giną, Susie, Marcia, Mikiem, Georgie, CJem, Maxem i hasającym radośnie między nimi uroczym psem imieniem Rudolph, zakończył się pierwszy wieczór Kate w Crocodile Creek.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Co to znaczy, jest w stanie szoku? W jakim szoku? Leży w szpitalu. Jak mogli tam dopuścić, żeby do tego doszło?

Kate wygramoliła się z łóżka, słuchając tłumaczeń Hamisha, dlaczego budzi ją po raz drugi, i wciągała dresy na spodnie od piżamy. Wbiła stopy w sandały i rzuciła się do drzwi. Hamish ani drgnął.

– No chodź, biegniemy – ponagliła go.

– Tak chcesz iść?

Spuściła wzrok na bluzę od piżamy ozdobioną wizerunkiem sympatycznego hipopotama.

– Nie widzę tu niczego nieprzyzwoitego, a Jack jest chory i na strojenie się nie ma czasu.

Hamish wzruszył tylko ramionami.

Szli w szarówce przedświt przez ogród, Hamish zaś wyjaśniał Kate sytuację. Operacja usunięcia pocisku z kości udowej przeprowadzana pod kierunkiem chirurga z Brisbane zakończyła się sukcesem. Jacka przewieziono do sali pooperacyjnej. Jego reakcje po wybudzeniu się z narkozy nie wzbudziły żadnych podejrzeń Emily, przewieziono go więc na oddział intensywnej terapii celem dalszego monitorowania. I wtedy nastąpił kryzys. Ciśnienie krwi spadło, tętno podskoczyło, Jack zaczął tracić przytomność i zapadać w śpiączkę.

Kilka razy powtórzył słabym głosem, że chce umrzeć, potem zamknął oczy i w ogóle przestał się odzywać.

Zaniepokojony nie na żarty Charles zadzwonił do Hamisha i poprosił go, by obudził i przyprowadził Kate. Może ona coś zaradzi.

– Do oiomu tędy. – Hamish ujął Kate za łokieć i wprowadził ją do części szpitala, której nie zwiedzała.

Coś podobnego! Niejeden wielkomijski szpital mógłby pozazdrościć takiego wyposażenia. Pięć sal, wszystkie monitorowane z centralnego stanowiska, ale tylko jedna zajęta. Za biurkiem stanowiska monitoringu pielęgniarka i Emily wpatrujące się z z troskaniem w ekran.

Weszli do sali, w której leżał Jack.

– Kate! – zawołał Charles z ulgą w głosie. – Przepraszam, ale chcieliśmy, żebyś do niego przemówiła, jakoś go rozruszała. Alix robi właśnie analizę krwi, ale wciąż nie potrafimy znaleźć żadnej fizycznej przyczyny tego nagłego załamania.

– Wiele przeszedł – przypomniała mu Kate, podchodząc do łóżka i biorąc Jacka za rękę.

– Cześć, Jack, to ja, Kate.

Jack otworzył oczy, ale to było wszystko.

Stojący w nogach łóżka Cal pokiwał ze znużeniem głową i wyszedł. Za nim wyszła Jill, która wyglądała tak, jakby od wielu dni nie zmrzyła oka.

Kate mówiła dalej, a siedzący na wózku inwalidzkim Charles wypatrywał na ekranie monitora jakichkolwiek oznak reakcji siostrzeńca. I nic. Oto na ich oczach, bez żadnej widocznej przyczyny, umiera młody, zdrowy mężczyzna. W końcu Charles, dochodząc

pewnie do wniosku, że nic tu po nim, wyjechał na wózku na korytarz i zatrzymał się obok czekającego tam Hamisha.

– Dzwoniłem do jego matki, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Philip mówi, że pewnie jest na nartach w Nowej Zelandii.

Udręka w głosie Charlesa powiedziała Hamishowi więcej niż te słowa. On wyraźnie wyrzucał sobie teraz, że upierał się przy zatrzymaniu chłopca w Crocodile Creek.

– Zrobiłeś wszystko, co było możliwe – zapewnił go Hamish. – W żadnym wielkomiejskim szpitalu nie działaliby więcej, a przewożenie go mogłoby tylko pogorszyć jego stan.

Charles jednak nie wyglądał na przekonanego.

– Nie powinienem zakładać z góry, że wiem wszystko najlepiej – rzekł z goryczą. – Niech to szlag trafi, Hamish. W tej rodzinie i tak za dużo już jest złej krwi.

– Zrobiłeś, co mogłeś, żeby Jim i Honey stanęli z powrotem na nogi i żeby zakończyć tę waśń między Cooperami a Wetherbymi – przypomniał Hamish Charlesowi.

– Tak, na pewno! – warknął Charles. – Najpierw połatałem, co się dało, a teraz pozwalam umrzeć ojcu ich wnuka. Wszystko zacznie się od nowa!

– Klamka jeszcze nie zapadła – zauważył Hamish.

Stojąc bezradnie przy łóżku i zerkając to na Jacka, to na monitor, Kate wspomniała historię, którą opowiedział jej Hamish. Historię rodzinnej waśni, która oddzieliła tego współczesnego Romea od jego Julii.

Od jego Julii! Jego dziewczyny! Od dziecka!

Odwróciła się od łóżka i wyszła do rozmawiających na korytarzu Charlesa i Hamisha.

– Gdzie jest Megan? Wciąż w szpitalu? Można by ją tu sprowadzić? Tylko na nią jedną on może zareagować.

Hamish, który słyszał na własne uszy deklarację Jacka, że Megan jest dla niego dziewczyną życia, zrozumiał ją najszybciej.

– Mieszka w domku Christine. Już tam lecę! Ale Charles go powstrzymał.

– Myślisz, że naprawdę mu na niej zależy? Jim twierdzi, że od sześciu miesięcy jej nie odwiedził.

– Zależy – powiedział z przekonaniem Hamish, toteż Charles kiwnął głową.

– To biegnij po nią. Ja porozmawiam z Jimem. Charles odjechał na wózku powiadomić Jima Coopera, że chłopak jego córki leży w szpitalu, a zadowolona z siebie Kate wróciła do łóżka Jacka. Czy Megan przyjdzie? Czy w ogóle zależy jej na ojcu dziecka?

Te pytania szybko znalazły odpowiedź. Na oiom, przed próbującym za nią nadażyć Hamishem, wpadła pulchna młoda kobieta.

– Gdzie on jest!? Gdzie Jack!? – wołała. Drogę zastąpiła jej Emily dyżurująca przy centralnym stanowisku.

– Ciszej, Megan – upomniała ją. – Uspokój się. Niedawno sama stąd wyszłaś.

Megan jednak jej nie słuchała. Omiotła jednym szybkim spojrzeniem oddział, wypatrzyła salę, w której leżał ten, którego szukała, i ominąwszy Emily, pobiegła w tamtym kierunku. Trudno było stwierdzić, czy dziewczyną powoduje miłość, czy też złość. Na wszelki wypadek

Kate zatrzymała ją w progu.

– On jest bardzo chory – ostrzegła. – Nie szarp nim.

– Za nic nie zrobiłabym mu krzywdy – chlipnęła Megan. – Ja go tak kocham! Hamish powiedział, że nie ma żadnego powodu, żeby było z nim tak źle.

– Nie ma. Wygląda na to, że stracił chęć do życia, że się poddał.

– Nie wolno mu. Ma dziecko – zaprotestowała Megan. – Nie może umrzeć i nie zobaczyć Jacksona.

– Nie umrze – odrzekła bez większego przekonania Kate i podprowadziła dziewczynę do łóżka. – Hej, Jack, mam dla ciebie niespodziankę. Teraz na pewno otworzysz oczy.

Megan opadła na stojące obok łóżka krzesło, chwyciła Jacka za bezwładną rękę i musnęła ją ustami. Łzy kapały jej z oczu i na tę dłoń, i na prześcieradło. Kate wycofała się pod ścianę i czekała.

– Jack, jestem tutaj, kocham cię. Błagam, nie zostawiaj mnie. Próbowałam sobie wmawiać, że cię nie kocham, że nie jesteś mi do niczego potrzebny. Ale teraz już wiem, że nie mogę bez ciebie żyć. A więc nie opuszczaj mnie, Jack, nie zostawiaj znowu.

Megan otarła jego dłonią płynące wciąż łzy.

– Potrzebuję cię, Jack – ciągnęła. – Nawet nie wiesz, jak bardzo... zwłaszcza teraz.

Obejrzała się na Kate, a ta wyczytała z jej oczu pytanie: Czy nie za dużo mówi? Czy to coś daje?

I to najważniejsze: Czy powiedzieć mu o dziecku?

– Mów dalej, tego nigdy za wiele – wyszeptała. Megan posłuchała. Zaczęła opowiadać Jackowi, że niedawno sama leżała w tym szpitalu i że przez cały ten czas o nim myślała, i że bardzo jej to pomagało.

– Jesteśmy sobie potrzebni, Jack – mówiła. – Jesteśmy sobie przeznaczeni.

Ale Kate, obserwująca przez cały czas monitor, na ekranie którego nic się nie zmieniało, widziała, że te słowa toną gdzieś w pustce, która wypełnia młodego mężczyznę. Megan rzuciła jej jeszcze jedno rozpaczliwe spojrzenie i wyjęła z rękawa ostatniego asa:

– Jack, mamy dziecko. Chłopczyka. Dałam mu na imię Jackson. No wiesz, syn Jacka. On też jest chory, Jack, ma słabe serduszko, ale walczy... Dzielny jest ten nasz dzidziuś...

No! Dotarło! Wreszcie ten impuls, którego wypatrywała z nadzieją na ekranie. Kate przeniosła wzrok z monitora na pacjenta. Jack otworzył oczy, a Megan znowu się rozplakała.

– Dziecko? – wyczytała Kate z ruchu jego warg. Megan chwyciła go za obie dłonie i kiwała zapalczywie głową, zraszając go całego łzami.

– Synek, Jackson. Przyniosę ci go i pokażę, jak ci się tylko polepszy.

– Chcę teraz!

Megan obejrzała się na Kate.

– Dziecko jest tutaj, na oddziale noworodków, bo w zeszłym tygodniu zaczęło gorączkować i przestało jeść. Mogę je przynieść?

– Zaraz przyniosę Lucky'ego. – W progu, na wózku inwalidzkim, siedział Charles. Uśmiechnął się przepaszająco do Megan i dodał: – Jackson! Muszę to sobie zapamiętać. Jackson!

Odjechał, a Megan odwróciła się znowu do Jacka, by mu powiedzieć, że dziecko jest już w drodze i że jest do niego bardzo podobne, i że chce mieć ojca.

I chociaż Jack znowu zamknął oczy, Kate wiedziała, że wycofał się z tej ziemi niczyjej pomiędzy życiem a śmiercią, i długo tam nie wróci.

Zostawiła małą rodzinę na oimie pod opieką Charlesa i wróciła do domu. Było już widno i wiedziała, że teraz nie zaśnie. Zresztą nie było na to czasu. Minęła szósta, a szpitalny samochód wyjeżdżał do Wygery o ósmej. Przebrała się i wyszła pobiegać. Miała nadzieję, że dobrze jej to zrobi po praktycznie nieprzespanej nocy.

Na szczycie nadmorskiego wzgórza zabrakło jej tchu. Przystanęła zdyszana i z lubością wciągała głęboko w płuca czyste, nasycone solą powietrze. Nagle wyczuła, że nie jest sama.

– Kate.

Hamish wyrósł obok niej jak spod ziemi. Kiwnęła głową i ruszyła przed siebie bez słowa, zakładając, że jeśli pragnie jej towarzystwa, to za nią pójdzie.

Chwycił ją za łokieć i zatrzymał.

– To śmieszne – mruknął.

– Co, spacerowanie po wzgórzu?

– Nie!

– Więc co?

– Nawet nie wiesz, jaką mam ochotę cię pocałować.

– Domyślam się. – Kate uświadomiła sobie nagle z przerażeniem, że ona też pragnie go pocałować.

– I jestem przekonana, że to kwestia okoliczności. Ta noc w wąwozie z Jackiem zbliżyła nas do siebie bardziej niż miesiąc zwyczajnej znajomości.

– Naprawdę uważasz, że chęć pocałowania cię wynika ze stosunków pracy? Z Całem pracuję od dwóch lat i nigdy nie naszła mnie ochota, żeby go pocałować. To samo dotyczy Emily i Christiny.

– I bardzo dobrze – odparowała Kate, cofając się, bo jego bliskość stwarzała zagrożenie.

– Jak by to wyglądało, gdybyś obcałowywał kolegów i koleżanki z pracy. Ze mną włącznie. Zresztą, pomijając wszystko, w moim przypadku to bez sensu. Zastanów się, Hamish! Ty za trzy tygodnie wracasz do kraju, ja też długo tu nie zabawię. Zły czas, złe miejsce.

– Zły czas? Złe miejsce? Dla pocałunku każdy czas i miejsce są dobre! – To mówiąc, postąpił krok, objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował.

– Hamish!

Słowo to, w zamyśle wyraz oburzenia, zabrzmiało w jej ustach pieszczotliwie, zachęciło go do kolejnego namiętnego pocałunku. Kolana się pod nią ugięły, przywarła do niego całym ciałem i chociaż rozsądek podpowiadał, że nie powinna się z nim całować, to serce domagało się czegoś więcej...

Nie! Kate, wystraszona intensywnością tego, co między nimi się rodzi, odskoczyła.

– Wracam! – wyrzuciła z siebie i puściła się biegiem w stronę domu z nadzieją, że po drodze odzyska trzeźwość myślenia.

CJ znowu siedział na stopniu, ale kiedy była już blisko, na werandę wyszedł Cal, wziął chłopca na barana i zbiegł z nim po schodkach.

– Niosę statek kosmiczny do przedszkola – poinformował ją CJ, wymachując nad głową Cala kartonowym modelem. – A Rudolph dzisiaj za mną nie pobiegnie, bo idzie na zastrzyki.

Kate pochwaliła statek kosmiczny, pożyczyła chłopcu dobrego dnia i wbiegła do kuchni. Zastała tam Emily z Mikiem.

– Cześć, Kate. Poznałaś już Mike'a? Naszego drugiego pilota helikoptera i ratownika w jednej osobie?

Dłoń Emily spoczywała zaborczo na ramieniu Mike'a, a oczy błyszczały jej tak samo, jak poprzedniego dnia Ginie. Epidemia miłości?

– Tak, poznaliśmy się wczoraj wieczorem – odparła Kate. – Co u Jacka?

Emily uśmiechnęła się promiennie.

– Jakby lepiej. Już wcześniej wpadliśmy na pomysł sprowadzenia Megan, ale nie wiedzieliśmy, czy on chce ją widzieć. Nie kontaktował się z nią od sześciu miesięcy i baliśmy się, że jej widok jeszcze bardziej go dobije.

Urwała, by zaczerpnąć tchu, po czym podjęła:

– Hamish powiedział, że Jack zwierzył się wam, co do niej czuje i jak bardzo starał się z nią zobaczyć.

– Jak się biegało? – zmienił temat Mike, głaszcząc dłoń Emily spoczywającą wciąż na jego ramieniu.

To niewinne w zasadzie pytanie Mike'a sprawiło, że Kate zarumieniła się po uszy. Czyżby z kuchni widać było przyładek? A może Mike też tam był i zobaczył, jak całuje się z Hamishem?

– Dobrze – mruknęła – ale strasznie się spociłam. Muszę się przebrać.

Z tymi słowami uciekła do swojego pokoju. A co mnie obchodzi, czy ktoś widział, czy nie, wmawiała sobie, ale wiedziała, że jednak obchodzi.

Zatrzymało się przed nią białe kombi z emblematem całodobowego pogotowia ratunkowego. Kierowcę już z daleka rozpoznała po sylwetce.

– Do Wygery jeżdżą zwykle Charles albo Cal – rzekł wesoło Hamish, otwierając drzwi – ale Cal ma dzisiaj operację, a Charles chce być blisko Jacka, i siłą rzeczy trafiłaś znowu na mnie.

Kate przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Będziesz mi pomagał oceniać projekty basenu?

– O nie, nawet mi to przez myśl nie przeszło! To twoja działka, siostrzyczko Winship. Twoja i tylko twoja. Ale kiedy tam dojedziemy, przypomnij mi, że mam w bagażniku projekt młodego Shane'a. Kilka dni temu przyjęliśmy go z pękniętym wyrostkiem robaczkowym, a ponieważ musiał kończyć swój model w szpitalu, daliśmy mu dwa dodatkowe dni na zgłoszenie.

Przez całą drogę do Wygery Kate nie odezwała się słowem. Patrzyła niewidzącym wzrokiem w okno. Dopiero pod koniec podróży do rzeczywistości przywołał ją głos Hamisha:

– To już osada aborygenów. Spojrzała na niego półprzytomnie.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Mówiłeś coś?

– Mówiłem, że Wygerze, prócz basenu, potrzeba również jakiegoś przemysłu. Przemysłu to może za dużo powiedziane, ale wiele podobnych aborygeńskich społeczności jest samowystarczalnych. Hodują bydło, prowadzą ośrodki turystyczne. W Terytorium Północnym są kolonie dla artystów. Problem w tym, że Wygera leży na tyle blisko Croc Creek, że część mężczyzn tam pracuje, ale dla wszystkich miejsc pracy w mieście nie starcza. Do tego nie każdemu chce się jeździć codziennie siedemdziesiąt kilometrów tam i z powrotem.

– A więc dzieci dorastają tutaj i opuszczają dom – mruknęła Kate.

– Albo zostają i popadają w kłopoty – dodał ponuro Hamish.

– Mówisz tak, jakby cię to autentycznie obchodziło.

– Bo obchodzi! – zauważył. – Opiekowałem się tymi ludźmi przez dwa lata i z wieloma się zaprzyjaźniłem. Fakt, że wracam do kraju, nie oznacza, że przestanę o nich myśleć.

Skręcili z szosy w węższą drogę biegnącą prosto jak strzełił w kierunku wieży ciśnień.

– Wygera! – oznajmił Hamish, wskazując ruchem głowy tę wieżę i skupisko domków wokół niej z psami drzemiącymi na ziemi w cieniu wypatroszonych samochodowych wraków.

Widok ten natychmiast skojarzył się Kate z przedmieściami Melbourne, gdzie zamiast ogrodowych krasnali podwórka przed domami zdobią porzewiałe karoserie. Za osadą teren opadał ku gęsto rosnącym drzewom, co sugerowało, że płynie tamtędy spory strumień. Po co osadzie basen, skoro ma strumień albo rzeczkę?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Hamish zatrzymał wóz przed niewielkim budynkiem, przed którym stał stół z trzema krzesłami. Dookoła, na pniach drzew, krzeselkach i małych spłachetkach trawy siedzieli ludzie.

– Opieka zdrowotna w Wygerze – powiedział Hamish. – Jeśli pogoda jest ładna, pracujemy na dworze, chociaż w środku znajdują się bardzo dobrze wyposażone gabinety lekarski i zabiegowy oraz poczekalnia.

Wskazał ruchem głowy kępę eukaliptusów, w których cieniu też leżeli ludzie.

– To twoja grupa. Przyjeżdżamy tu dwa razy w tygodniu. Dzisiaj jest dzień zdrowego dziecka, ale jeśli zobaczysz u kogoś coś niepokojącego, odsyłaj taką osobę do mnie. Dzieci mają przeważnie problemy z oczami, matki z cukrzycą. Wszyscy mają przy sobie karty zdrowia; przed naszym przyjazdem rozdała je higienistka.

Kate, wysłuchawszy wszystkich tych informacji i rad, wysiadła i rozejrzała się.

Wygera leżała u podnóża gór, które oddzielały nadbrzeżną równinę od pastwisk w głębi łądu. Podłoże było tu nagie, kamieniste, porośnięte tylko gdzieniegdzie, głównie tam, gdzie za dnia najdłużej zalegał cień, kępkami rachitycznej trawy.

– Pani bagaż, siostró – powiedział Hamish, wręczając jej kwadratową walizeczkę, którą wyjął z tylnego siedzenia. – Waga, waciki, opatrunki, i tak dalej. Wszystko tu jest. Ale gdybyś potrzebowała czegoś jeszcze, to obecny tu Jake – wskazał ruchem głowy chłopca przestępującego obok nich z nogi na nogę – posłuży ci za gońca.

Kate wzięła walizeczkę, ale Jake wyrwał jej ją z ręki i ruszył przodem w kierunku eukaliptusów, gdzie czekały kobiety z dziećmi. Stał tam jeszcze jeden stół i dwa krzesła, ale Kate przemknęło przez myśl, że może lepiej będzie, jeśli usiądzie z kobietami na trawie.

– Niech pani siada na krzesło – poradził jej Jake.

– Wtedy kobiety będą mogły sadzać pani dzieci na kolanach.

Z trawy podniosła się kobieta, którą Jake przedstawił jako Millie, i usiadła na drugim krzesle.

– Jestem tutaj higienistką – powiedziała, otwierając walizeczkę i wyjmując z niej dziecięcą wagę.

– Będę ważyła.

– Dzięki – mruknęła Kate, zerkając na budynek przychodni. Dziwne, że nie mają tu własnej wagi.

– Ludzie ważą na nich ryby, ziemniaki i banany, i po takim czymś nie nadają się za bardzo do ważenia dzieci – wyjaśniła Millie, zupełnie jakby czytała w jej myślach.

– Mam na imię Kate – przedstawiła się Kate grupce kobiet i usiadła. – Kto pierwszy?

Kilka kobiet zachichotało, powstało ogólne poruszenie. Millie wyczytała z listy nazwisko i do stolika podeszła ładna dziewczyna w dzinsach i krótkiej obcisłej bluzce, z dzieckiem na ręku.

Kate spojrzała na jej płaski brzuch ozdobiony wpiętym w pępek kolczykiem i przemknęło

jej przez myśl, że ta dziewczyna nie mogła jeszcze rodzić, ale okazało się, że Angela naprawdę jest matką Josepha.

– Trzeba go tylko zważyć, no i niepokoi mnie ta wysypka – powiedziała, kładąc dziecko na stole i odpinając jednorazową pieluszkę. – Proszę popatrzeć!

Czerwonej wysypki w kroczu i na pośladkach trudno było nie zauważyć. Kate wyjęła z torby pojemniczki na próbki i wacik. Przetarła nim zaczerwienione miejsce, wrzuciła go do pojemniczka, zakreśliła wieczko i wypełniła etykietę, przepisując z karty nazwisko Josepha.

– Powiedziałam jej, że to od jednorazowych pieluszek – odezwała się Millie. – Tłumaczyłam, żeby albo ich nie zapinała tak mocno, albo zaczęła stosować pieluchy z tetry.

– Nie zapinałam – zaprotestowała Angela – i nic nie pomogło. Tetrowych pieluch też próbowałam.

– Z najnowszych badań wynika, że pieluszki jednorazowe mniej podrażniają skórę niż tetrowe – wyjaśniła Kate. – Lśniaca powierzchnia wysypki i jej rozmieszczenie sugerują, że to może być drożdżyca.

– Taka, jakiej dostają kobiety? – spytała Angela.

– Podobna. – Kate kiwnęła głową. – To infekcja wywoływana przez drożdżaki z jelit i przez bakterie. Ale jest na to krem.

Co dalej? Z tego, co widziała po drodze, w osadzie nie było apteki, a więc prośenie Hamisha o wypisanie recepty mija się z celem.

– Krem jest w torbie – oznajmiła Millie.

Najwyraźniej wiedziała o wizytach lekarskich o wiele więcej niż Kate! Kate znalazła w torbie tubkę z kremem.

– Smaruj zaczerwienione miejsca dwa razy dziennie, cienko. Nakładanie grubszej warstwy w najmniejszym stopniu nie przyspieszy działania. Gdyby nie było oznak poprawy, zgłoś się podczas następnego dyżuru.

Angela podała dziecko i jego kartę zdrowia Millie, która zważyła malucha i wpisała wynik do karty.

– Odnieś małego babci i wracaj do szkoły – powiedziała Millie, kiedy Angela zapinała Josephowi pieluszkę.

– Ona się jeszcze uczy? – spytała Kate, kiedy czekały na następnego pacjenta.

– Jest w ostatniej klasie. W przyszłym roku idzie na uniwersytet. Chce zostać lekarzem. Da sobie radę. Matka jedzie z nią do Townsville, żeby opiekować się dzieckiem, kiedy ona będzie na wykładach. Dziewczyna wie, czego chce, i jest zdolna... tylko głupia w sercu.

Głupia w sercu! Z tym trafnym określeniem w pamięci Kate przebadala jeszcze ośmioro dzieci i wysłuchiwała problemów, jakie mają z nimi matki. Millie w mało subtelny sposób komentowała porady, których udzielała.

– Teraz lunch, a potem ocena projektów.

Kate obejrzała się. Do stolika zbliżał się Hamish.

Głupia w sercu, powtórzyła w myślach na wypadek, gdyby to, co poczuła na jego widok, nie było po prostu manifestacją głodu.

– Dlaczego tej poradni zdrowego dziecka nie prowadzi Millie? – spytała, kiedy jechali do

położonej dalej osady. – Zna tu ludzi i na pewno wie tyle samo, jeśli nie więcej niż ja.

– Mówi, że ludzie bardziej ufają komuś, kto jest ze szpitala. Chodzą do Millie między naszymi wizytami, a potem przychodzą do nas, żeby się upewnić, czy dobrze im doradziła.

– I jej to nie denerwuje? Że jej nie wierzą? Hamish uśmiechnął się.

– Wiele by trzeba, żeby zdenerwować Millie. Ona przyjmuje po prostu rzeczy, jakimi są, i robi swoje.

Bierz z niej przykład, powiedziała sobie Kate, a na widok budynku, do którego się zbliżali, zrobiła wielkie oczy.

– A to co znowu?

– Miejscowy ratusz. Ufundowany przez władze federalne i zaprojektowany w Canberze. Stąd ten dwuspadowy dach: żeby śnieg się zsuwał.

Kate śmiała się do rozpuku, wysiadając z samochodu w lejący się z nieba żar, który w północnym Queenslandzie uważany jest za chłodne wiosenne popołudnie. Kiedy jednak weszli do środka, ochota do śmiechu przeszła jej jak ręką odjął.

Na stołach rozstawionych w głównym holu prezentowano dziesiątki modeli.

– Tyle tego? O kurczę, wygląda na to, że tutejsi mieszkańcy naprawdę chcą mieć ten basen.

– Żebyś wiedziała! Ale najpierw coś zjemy. Wygera serwuje najlepsze lunchy – oświadczył Hamish, prowadząc ją obok stołów wystawowych do wielkiej kuchni na zapleczu holu, gdzie czekały już trzy kobiety.

– Rostbef na zimno z sałatką. Może być? – spytała najstarsza z kobiet, którą Hamish przedstawił Kate jako Mary.

– Może – odparła Kate, ale niezręcznie było jej siedzieć tak z Hamishem przy stoliku, wokół którego krzątały się kobiety, a to podsuwając chleb z masłem do sałatki, a to pytając, czy herbatki, czy kawki, a na koniec stawiając przed nimi smakowicie wyglądającą babkę biszkoptową przyozdobioną czekoladowymi spiralami.

– Założę się, że żeński personel szpitala w Crocodile Creek rękami i nogami broni się przed wizytami w Wygerze – zauważyła Kate, uśmiechając się do usługujących im kobiet. – Nabrałabym kształtów hipopotamicy, przyjeżdżając tu częściej niż raz w tygodniu.

– Lubimy gości, a poczęstunkiem najlepiej to okazać – wyjaśniła Mary, sprzątajac ze stolika.

Jedna z kobiet wyszła za Kate do holu.

– Wszystkie plany i modele są ponumerowane, a doktorzy, którzy tu byli w niedzielę, zrobili listę numerów i nazw, czyli musi pani tylko wybrać numer i powiedzieć jaki. Listę ma doktor Cal.

Kate wyciągnęła z kieszeni mały notesik i długopis, po czym przeprowadziła wstępną selekcję.

Chodziła między stołami, eliminując stopniowo eksponaty, aż został tylko jeden. Gałązki krzaków symbolizowały na nim miejsca, w których posadzone zostaną drzewa, małe plastikowe zwierzątka zsuwały się ze zjeżdżalni, kawałki plastikowych słomek do picia reprezentowały dysze biczów wodnych, a coś podejrzanie przypominającego szpitalną nerkę

główny basen.

– To jest to – rzekła do Hamisha, który z resztą kobiet chodził już za nią po holu i niecierpliwie oczekiwał werdyktu.

– Przecież to projekt Shane’a – zauważył Hamish, rozpoznając model, który wniósł wcześniej do holu.

– Czy to go w jakiś sposób dyskwalifikuje? – spytała Kate.

– Nie, skądże znowu! – zaprzeczył czym prędzej Hamish, a potem się uśmiechnął. – Moim zdaniem jest fajny. Biedny dzieciak jest po tej operacji wyrostka jak zdjęty z krzyża i na pewno się ucieszy.

Odwrócił się do trzech towarzyszących im kobiet.

– Trzymamy werdykt w tajemnicy, czy od razu go ogłaszamy?

– Ludzie i tak będą wiedzieli, obojętne czy im powiesz, czy nie – orzekła Mary. – Ludzie zawsze wszystko wiedzą.

– Po południu pracujemy razem. Jest kilka drobnych zabiegów chirurgicznych, które przeprowadzimy w przychodni – wyjaśnił Hamish, przenosząc model Shane’a do samochodu. Mieli go zabrać do Crocodile Creek i przekazać do opracowania architektowi.

Ich pierwszym pacjentem był Pete, mężczyzna w średnim wieku, któremu haczyk wędkarski wbił się głęboko w nadgarstek. Kiedy odwijał bandaż, Kate zauważyła jaskrawoczerwoną linię biegnącą od rany w górę ręki, świadczącą o tym, że wdała się infekcja.

– Dobrze zrobiłeś, odcinając ten koniec z kolcem, żeby łatwiej było wyciągnąć haczyk – powiedział Hamish, robiąc mężczyźnie zastrzyk znieczulający. – Ale wycinanie go żyłką, kiedy mimo wszystko nie chciał wyjść, nie było najrozsądniejszym sposobem.

– Kolega to zrobił – odrzekł Pete. – Byliśmy w łódce na rzece, mieliśmy przy sobie parę błyszczyków, i dlatego wpadł na taki pomysł.

Teraz, kiedy rana była już oczyszczona, Kate widziała nacięcia w poprzek nadgarstka mężczyzny, przywodzące na myśl szczególnie nieudolną próbę samobójstwa.

A może to była próba samobójcza, a ten haczyk to tylko pretekst? Zerknęła na Hamisha, który oglądał ranę, rozmawiając z Pete’em o rybach i ich łowieniu.

– O, teraz go widzę – powiedział w pewnej chwili. – Kate, kleszcze.

Wyrwana z zamyślenia Kate podała mu instrument, ale Hamish, choć bardzo się starał, nie mógł wyciągnąć haczyka z rany.

– Trzeba go wyciąć – stwierdził w końcu, toteż Kate podała mu bez słowa skalpel jednorazowy. – I sprawdź w karcie Pete’a, czy nie jest uczulony na zastrzyk przeciwzęzcowy.

Gdy zajrzała do karty, jej oko przyciągnął jeden z wcześniejszych wpisów. Haczyk wędkarski w stopie?

– Czy Pete ma zwyczajnie pecha, czy haczyki wędkarskie są w tym rejonie Queenslandu szczególnie napastliwe? – spytała Hamisha, kiedy trzy godziny później odjeżdżali z Wygery.

– Pół roku temu wbił mu się taki w stopę.

Hamish uśmiechnął się.

– Pete jest zapalonym wędkarzem. Zabrał mnie kiedyś na ryby i to był mój pierwszy i

ostatni raz. Łódka, w której siedzieliśmy, była większa od wylegających się na brzegu krokodyli, ale nie za wiele.

Robiło mi się coraz bardziej nieswojo, zwłaszcza kiedy kilka tych gadów zsunęło się do wody i zaczęło płynąć w naszym kierunku.

– Prawdziwe krokodyle?

Kate zdawała sobie sprawę, że to głupie pytanie, ale samo jej się jakoś wymknęło.

– Jak najprawdziwsze – przytaknął Hamish – chociaż wcześniej myślałem, że Crocodile Creek to tylko nazwa. No wiesz, tak jak Wężowy Jar. Może ktoś kiedyś widział tam węża, ale to jeszcze nie oznacza, że się od nich roi.

– Ale od krokodyli w strumieniu się roi?

Kate wyjrzała nerwowo przez okno samochodu. Na jaką odległość od strumienia zapuszczają się te krokodyle? Słyszała, że potrafią biec szybciej od konia.

Czy koń jest w stanie prześcignąć samochód?

– Spokojnie, nic nam nie grozi – powiedział Hamish, zwalniając i kładąc jej rękę na ramieniu.

– Wiem! – warknęła Kate. – I już rozumiem, po co im ten basen. Mnie też nie uśmiechałoby się kąpać w rzece pełnej krokodyli.

I tak, na rozmowie o krokodylach i basenach, upłynęła im większa część drogi. Kiedy od Crocodile Creek dzieliło ich jeszcze kilka kilometrów, Hamish zjechał na przydrożny parking, z którego roztaczał się piękny widok na miasteczko, zatokę i morze. Zatrzymał auto i odwrócił się do niej.

– Czy to zły czas i miejsce, Kate? Pocałował ją delikatnie.

– Czy zaprzeczysz, że dzieje się między nami coś specjalnego? Czy zaprzeczysz, że czujesz to samo co ja, kiedy jesteśmy razem? Zaprzeczysz, że w tych pocałunkach jest magia?

Kate starała się, bardzo się starała temu zaprzeczyć, ale nie mogła i w końcu pokręciła głową.

– Nie, Hamish, tylko że tutaj od magii ważniejsze jest zaufanie.

Pocałował ją znowu.

– Wiem, i dlatego nie śpieszmy się. Na lepsze poznanie się mamy całe trzy tygodnie. Mówiłaś, że chcesz odnaleźć ojca. Z pomocą ludzi ze szpitala zajmie ci to pewnie nie więcej niż kilka dni. A potem pojechałabyś może ze mną do Szkocji? Żadnej presji ani obietnic. Zobaczymy, jak ułożą się sprawy.

To wszystko tak szybko się dzieje, za szybko jak na jej gust.

– Nie wydaje mi się, Hamish – powiedziała cicho i odchyliła się na oparcie fotela.

Hamish milczał kilka chwil, potem wycofał samochód z miejsca parkingowego, wyjechał na szosę i zagał luźną rozmowę, tłumacząc jej między innymi, że o świcie i o zmierzchu trzeba bardzo uważać na przebiegające przez drogę kangury. Była mu za to wdzięczna.

Kiedy zatrzymali się przed szpitalem i wyładowali sprzęt z samochodu, Hamish poszedł złożyć raport Charlesowi, a ona na oiom do Jacka.

Jack leżał z zamkniętymi oczami i chociaż otworzył je, kiedy weszła Kate, to powieki

zaraz mu z powrotem opadły i z uśmiechem na ustach zasnął.

Kate usiadła obok Megan, która nie odstępowała od łóżka Jacka i przez cały czas trzymała go za rękę.

– Dobrze się czujesz?

Megan kiwnęła głową i też się uśmiechnęła.

– Tato przyszedł go odwiedzić – wyszeptwała – bo wkrótce przenoszą go, znaczy tatę, do Townsville na założenie bypassów. Powiedział Jackowi, żeby szybciej dochodził do siebie, bo jest potrzebny w Cooper's Crossing. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i dodała z dumą: – To nasza farma. Tato chce, żeby Jack tam pracował, ale nie od razu. Rozmawiali z Charlesem. Uradzili, że powinniśmy z Jackiem zacząć studia na uniwersytecie, na wydziale rolniczym, żebyśmy wiedzieli, co robimy. Charles mówi, że starczy na to pieniędzy, i że przy uniwersytecie jest żłobek.

Zawiesiła na chwilę głos i spojrzała na Kate promiennie.

– Uniwersytet, Kate! Wyobrażasz sobie? Potem wrócimy tutaj i poprowadzimy oboje Cooper's Crossing.

Kate uścisnęła ją, pogratulowała i wyszła. Przed izbą przyjęć natknęła się na Charlesa rozmawiającego z Hamishem.

– Właśnie o tobie mówimy – zawołał do niej Charles. – Harry musi przesłuchać wreszcie Jacka dla jego własnego dobra. Im szybciej wyjaśni się ta afera z jego kolegami, Toddem i Diggerem, tym lepiej. Emily twierdzi, że jak wszystko dobrze pójdzie, to będziemy go mogli jutro zabrać z oiomu. A kiedy znajdzie się na oddziale, trudno będzie nie dopuścić do niego Harry'ego.

– Będzie pan obecny przy przesłuchaniach? – spytała.

Charles spojrzał gdzieś nad jej głową.

– Właśnie dlatego rozmawialiśmy o tobie. Wiem, że pracujesz na ratunkowym, ale chciałem cię prosić, żebyś na tych kilka dni przeniosła się na oddział męski. Nie chcę, żeby wyglądało, że próbuję chłopaka chronić. A dobrze by było, gdyby podczas tych rozmów z Harrym miał obok siebie kogoś, kogo lubi i komu ufa. Harry'emu powiem, że jego stan nadal jest poważny i musi przy nim czuwać pielęgniarka. Zrobisz to dla mnie?

– Oczywiście – odrzekła Kate. – Mam iść do Jill? Będzie musiała znaleźć kogoś na zastępstwo.

– Sam to z Jill załatwię. Powiedz mi tylko, kiedy jutro pracujesz?

– Na poranną zmianę. Od szóstej do piętnastej. Charles uśmiechnął się.

– Przenosimy Jacka rano. Potem będzie musiał odpocząć, a więc przed południem nie dopuszczę do niego Harry'ego. Lepiej by było, gdybyś wzięła dyżur popołudniowy, od dwunastej do dwudziestej pierwszej. Zgoda?

– Zgoda.

Kate pożegnała się i oddaliła. Dogonił ją Hamish.

– Odpowiada ci ta rola protektorki? – zapytał. – Potrafisz przerwać przesłuchanie i wyprosić Harry'ego z sali, jeśli uznasz to za konieczne?

Kate zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Z przyczyn medycznych? – zapytała.
- Z przyczyn medycznych – potwierdził.
- Możesz być pewien, że jeśli zauważę, że Jack jest zmęczony, z miejsca przerwę przesłuchanie.
- Mama niedźwiedzica chroniąca swoje młode? – zażartował Hamish, a Kate musiała mu przyznać rację.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia Harry nie zjawił się jednak w szpitalu. Wieczorem, po powrocie z dyżuru, Kate zastała w kuchni Hamisha. Stał nad blatem i czekał, aż zagotuje się woda w elektrycznym czajniku.

– Napijesz się herbaty? – spytał.

Spojrzała na zegarek, a potem podejrzliwie na niego.

– Czekaleś na mnie?

– Ja?

Sama niewinność!

Ale zaraz potem uśmiech.

– No pewnie, że czekałem. Nie widziałem cię cały dzień. Jak mogłem nie czekać? To chcesz tej herbaty, czy nie chcesz?

– Nie chcę – burknęła Kate, chociaż w ustach miała sucho i dałaby się posiekać za kubek herbaty. – A takie niewidywanie się na dobre nam obojgu wyjdzie, Hamish. Nie chcę się z nikim wiązać, ani teraz, ani tutaj, ani nigdzie indziej.

Odwrócił się do niej plecami, zakrzętnął przy kubkach i czajniku, i po chwili odwrócił, stawiając przed nią na stoliku kubek świeżo zaparzonej herbaty.

– Nie działa na ciebie ta magia?

Wzięła kubek i upiła łyżeczk, obserwując go.

– Pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi i zabieram swoją herbatę do pokoju.

Będzie ją zatrzymywał? Pójdzie za nią? Nie, to nie w jego stylu.

– Dobranoc, Kate – usłyszała za sobą.

Z kubkiem parującej herbaty w ręce i poczuciem nieopisanej samotności w sercu powlokła się do swojej sypialni.

Hamish odprowadził ją wzrokiem, po czym wyszedł na werandę i usiadł na starej sofie. Chciał pozbyć się bagażu uczuć i przemyśleć rzecz na chłodno. Do reszty zgłupiał, że narzuca się Kate, która najwyraźniej nie jest nim zainteresowana? Tak.

A więc trzeba z tym skończyć.

Święte słowa.

I skończy?

Pozostawi to pytanie bez odpowiedzi. To jest coś innego. Coś specjalnego. Nigdy dotąd czegoś takiego nie odczuwał...

Jack dochodził stopniowo do siebie. Następnego dnia po południu przyglądał się, jak Megan karmi ich dziecko, potem potrzymał przez chwilę synka na rękach i znowu zasnął. Megan poszła wykapać małego przed położeniem go do łóżeczka, Kate zmieniała opatrunek na nodze Jacka, kiedy do sali wszedł Harry.

– Możemy pogadać? – zwrócił się do Jacka.

Jack zamknął po swojemu oczy, ale Kate wiedziała, że jest wypoczęty i że to najlepsza

pora na przesłuchanie.

– Musisz prędzej czy później porozmawiać z Harrym – powiedziała cicho. – Może przynajmniej zaczniesz. Będę tutaj i jeśli zobaczę, że się zmęczyłeś, odprawię Harry’ego. Ale przynajmniej zacznijcie, Jack.

Otworzył oczy, patrzył na nią przez chwilę, potem kiwnął głową i przeniósł wzrok na Harry’ego.

– Naprawdę myślałem, że oni są zwyczajnymi poganiaczami bydła – rzekł półgłosem. – W każdym razie na początku.

– A kim są ci „oni”?

– No, Todd i Digger.

– Nazwisk nie znasz? Jack pokręcił głową.

– Poznałem ich w pubie pod Gunyamurzą. Mieli obóz w starej oborze na granicy jakiegoś rancza. Może Wetherby Downs, ale pewności nie mam, bo nigdy wcześniej tam nie byłem. Todd mówił, że trzymają tam bydło, bo czekają na jeszcze jedno stado.

Jack upił wody ze szklanki i podjął:

– Tuż przed rodeo w Gunyamurze dali mi parę dni wolnego. Chciałem pojechać autostopem do Megan, ale nie mogłem złapać okazji. Myślałem, że oni wybierają się na rodeo, bo dużo o nim rozmawiali, ale kiedy wróciłem, przyprowadzili nową partię bydła. I wtedy zobaczyłem znaki.

– Czyje to były znaki? – spytał Harry, i w tym momencie do sali weszła Megan. Widząc Harry’ego przy łóżku Jacka, podbiegła tam rozsierdzona.

– Spokojnie, Megan – rzekła Kate, ale na Megan to nie podziałało.

– On jest jeszcze bardzo osłabiony! – wyrzeszczała Harry’emu w twarz. – Nie widzisz?! – I odwracając się do Kate, wyrzuciła z siebie: – Czemuś go tu wpuściła?

Do sali wsunął się Hamish.

– On musi w końcu złożyć zeznania, Megan – wyjaśnił, ale Megan nie słuchała, toteż kiedy Jack znowu zamknął oczy, tym razem na dobre, Kate dała Harry’emu znak, by opuścił salę. Wyszła za nim na korytarz.

– Jack się zmęczył – powiedziała. – Wróc może jutro rano. O tej porze pacjenci są zwykle bardziej wypoczęci. No i rano nie będzie tu Megan.

Harry uśmiechnął się.

– Rzuciła się na mnie jak mama niedźwiedzica broniąca młodego, co?

Kate kiwnęła głową. To samo, tyle że pod swoim adresem, usłyszała poprzedniego wieczoru od Hamisha, który właśnie wyszedł na korytarz. Kate zajrzała do sali i stwierdziwszy, że Megan uspokoiła się już i siedzi teraz przy łóżku pogrążonego we śnie Jacka, zwróciła się do mężczyzny, którego postanowiła unikać:

– Bardzo się zdenerwował przy tym ostatnim pytaniu. Harry zadał je w momencie, kiedy do sali weszła Megan – wyjaśniła. – Pamiętasz, jak zastanawiałeś się, co mogło zająć i doszedłeś do wniosku, że niewykluczone, że Jack rozpoznał piętna rancza Wetherby Downs i zorientował się, że bydło jest kradzione?

– Wtedy w wąwozie? Kate kiwnęła głową.

– No a jeśli rzeczywiście rozpoznał te piętna, ale nie były to znaki rancza Wetherbych, lecz Cooperów? Przyznałby to? Kiedy Jim zaakceptował go w rodzinie, a w sali była Megan i wszystko słyszała?

Hamish położył jej dłoń na ramieniu.

– Czy ty zawsze martwisz się za cały świat?

– Nie za cały świat, tylko o Jacka – odparowała.

– Harry wróci tu jutro rano i będę obecna przy przesłuchaniu, ale nie jestem prawnikiem, a Jackowi może by się przydał.

Zepchnęła jego rękę z ramienia, ale nie zbiło go to z tropu.

– Masz teraz przerwę na herbatę. Sprawdziłem – oznajmił. – Chodźmy porozmawiać z Charlesem. Poprowadził ją korytarzami i zapukał do drzwi gabinetu Charlesa. Weszli. Charles spytał, czym może służyć.

– Kate wyjaśni – oświadczył Hamish.

Kate zdała Charlesowi relację z przesłuchania i wyniszczyła swoje obawy.

– Czy to naprawdę nie najwyższy czas, żeby wynająć mu prawnika? – spytał Charlesa Hamish.

Charles zastanawiał się przez kilka chwil, potem pokręcił głową.

– Na razie nie widzę takiej potrzeby – stwierdził.

– Harry zbiera po prostu potrzebne informacje. Swoją drogą, na granicy rancza Wetherbych stoi taka stara obora, ale nikt od lat nie trzymał tam bydła, a więc Jack nie mógł o niej wiedzieć. Zresztą, gdyby Jack potrafił udowodnić, że nie było go tam, kiedy bydło zostało skradzione...

– Próbował w tym czasie bezskutecznie dotrzeć autostopem do Megan – wpadła mu w słowo Kate. – Nikt nie chciał go zabrać, ale wystarczyłoby znaleźć kierowców, którzy widzieli go przy szosie, i mielibyśmy taki dowód.

Charles uśmiechnął się.

– Znajdziemy ich – zapewnił ją, ale Kate wychwyciła w jego głosie nutkę zwątpienia.

– To teraz na herbatkę? – powiedział Hamish, kiedy znaleźli się na korytarzu.

– Nie!

Czyżby nie zauważył, że ona go unika? Na to wygląda.

Nazajutrz Harry przyszedł do szpitala o dziesiątej rano. Kate zawieszała właśnie na stojaku kroplówki nową torebkę.

– Masz tu dobrą opiekę medyczną, Jack – zauważył. – Ładna pielęgniarka wyłącznie do twojej dyspozycji.

– Dopiero co tu weszłam – zaperzyła się Kate.

– Wcześniej nie chciałam przeszkadzać, bo była u niego Megan.

– No więc skończyliśmy na tym, że twoi kumple...

– To żadni moi kumple! – oburzył się Jack, ale kiedy Kate pogłaskała go po ramieniu, uspokoił się.

– Digger był w porządku.

– No dobrze – podjął Harry. – Skończyliśmy na tym, że Todd i Digger zabrali cię z

powrotem do tej starej obory, a tam przybyło bydła.

Jack kiwnął głową.

– Zobaczyłem piętna i spytałem, czy kupili te krowy od Jima Coopera, znaczy od taty Megan. Pomagałem jej czasem naprawiać ogrodzenie. Tak się poznaliśmy. Część ich stada pomieszala się kiedyś z naszym i Philip się strasznie wkurzył. Powiedział, że ich krowy są chore i zarażają nasze, chociaż im nic nie dolegało, były tylko trochę wychudzone.

Kate uśmiechnęła się do siebie. Jack był może, tak jak ona, mieszcuchem, ale szybko się uczył.

– Tak czy owak, spytałem Todda, czy je kupił, a on powiedział, że tak, że to ranczo schodzi na psy i Jim chce się ich pozbyć. Wiedziałem, że Cooperom od jakiegoś czasu nie za dobrze się wiedzie, i mu uwierzyłem. Ale potem Todd i Digger zaczęli przepalać piętna, a to już wydało mi się podejrzane. I odszedłem.

– Powiedziałeś im, dlaczego odchodzisz? Jack pokręcił głową.

– Ale musiałem wziąć motocykl. Todd miał dwa jednoślady i jednego czterokołowca, na którym pozwalał mi jeździć. Ale zabranie motocykla to kradzież, zostawiłem mu więc karteczkę, na której napisałem, że zostawię go przy szosie, i jak tylko coś zarobię, to prześlę mu jakąś sumę w ramach rekompensaty.

– Czyli wiedział, dokąd się kierujesz?

– No jasne!

Jack był chyba bardziej załamany niż zmęczony, ale Kate wyczuła, że ma dosyć, toteż dała znak Harry'emu, że na niego pora.

Ku jej zdziwieniu nie protestował. Może jego też ujęła ta historia. Oto mieszcuch, który pomaga swojej dziewczynie naprawiać ogrodzenie rancza, martwi się o bydło jej ojca, a uciekając od kryminalistów, zostawia im wiadomość, dokąd się udaje!

Uśmiechnęła się do Jacka. Niektórzy nazwaliby jego postępowanie głupotą, nie uczciwością, ale nie chciało jej się wierzyć, by jakkolwiek sąd uznał go winnym zarzutów, jakie być może postawi mu Harry.

Więcej – jeśli uda się znaleźć kierowców, którzy widzieli go przy szosie albo podwozili, i udowodnić, że nie było go ze złodziejami, kiedy ci kradli bydło, Harry nie będzie mógł go o nic oskarżyć.

Jeszcze jedno zadanie dla Batmana i Robina.

Kate uwielbiała wracać ze szpitala do domu przez ogród. Dowiedziała się, że nazywają go Ogrodem Agnes Wetherby i że założono go na cześć babki Charlesa, a prababki Jacka.

Jack miał się dobrze – od strony medycznej – a Harry nie wrócił już po południu, by go dalej przesłuchiwać. Zarówno ona, jak i Jack z Megan uznali to za dobry znak.

Już z daleka usłyszała dźwięk gitary. Na werandzie siedział Hamish i grał. Na jej widok odstawił instrument.

– Usiądź ze mną – poprosił. Posłuchała. Objął ją i przytulił.

– Wiesz może, dlaczego Charles mnie nie lubi?

– zapytała.

– Charles cię nie lubi? Powiedział ci to? Podjechał do ciebie i oznajmił: „Kate, nie lubię

cię”)? Co ci też przychodzi do głowy?

Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej.

– Spogląda na mnie wilkiem. Oczywiście nie wtedy, kiedy ja na niego patrzę, wiesz, jak cicho potrafi podjechać. Że też ktoś nie wymyślił jeszcze sposobu na to, żeby kółka w tym jego wózku zaczęły skrzypieć. W każdym razie wyczuwam czasami za sobą jego obecność, i kiedy się obejrzę, on patrzy na mnie spode łba.

– Wydaje ci się – odrzekł Hamish, chociaż i jemu zdarzało się popatrywać wilkiem na tę kobietę, kiedy nie była świadoma jego obecności. Tak, zdarzało mu się, bo był już prawie pewien, że ją kocha, a nie wiedział, jak jej wyperswadować to unikanie miłości za wszelką cenę.

Czyżby Charles też się w niej zakochał?

Jeśli tak, to Hamish w pełni by go rozumiał, tyle że bardzo by mu się to nie podobało. Charles jest dla niej o wiele za stary. Czy aby na pewno... ?

No i Charlesowi nie można odmówić uroku osobistego...

– Pogadam z Charlesem – rzekł stanowczo. Kate roześmiała się.

– I powiesz mu, żeby przestał na mnie patrzeć spode łba? Daj spokój! – Cmoknęła go w policzek. – Dobry z ciebie przyjaciel, Hamish, i ja to doceniam, ale przeżyję jakoś te spojrzenia Charlesa. Wspomniałam o nich tylko dlatego, że przechwyciłam kolejne takie, kiedy wychodziliśmy z jego gabinetu po rozmowie o Jacku.

Zamilkła na chwilę.

– A może on myśli... Chyba nie myśli, że między mną i Jackiem coś jest? Przecież jestem dla Jacka o wiele za stara, a poza tym on poza Megan świata nie widzi...

Hamish przyciągnął ją do siebie. Siedzieli tak jakiś czas wpatrzeni w księżyc wylaniający się zza widnokregu i rzucający świetlistą smugę na wody zatoki.

– Księżyc i woda... Sceneria wymarzona do nawiązania romansu, prawda?

– Nic z tego, Hamish. Pomijając już moją awersję do związków, ty za dwa tygodnie wracasz do kraju. Głupio by było zaczynać coś, czego nie będzie można skończyć.

Pocałował ją w czubek głowy, a potem w kącik prawego oka.

– Mój wyjazd nie jest żadną przeszkodą. Moglibyśmy dokończyć w Szkocji. Albo wcale nie kończyć.

Słowa te wypowiedziane przyciszonym głosem sprawiły, że ciarki przebiegły jej po grzbiecie. To na pewno przez ten akcent. Głos Daniela nigdy nie miał żadnego wpływu na jej grzbiet czy kręgosłup – na żadną jej kosteczkę, jeśli chodzi o ścisłość.

– Jedź ze mną do Szkocji. Pobierzmy się. Musnął wargami kącik jej ust.

– Co ty na to?

– Posłuchaj, dziękuję za propozycję, ale...

– Żadnych ale – wpadł jej łagodnie w słowo i pocałował tak namiętnie, że oczyma wyobraźni zobaczyła, jak wstając z kanapy, zostawiają po sobie osmalone miejsce na obiciu.

– Nie, nie pójdę z tobą dzisiaj na ognisko na plaży – rzekła Kate, przepychając się obok Hamisha blokującego jej drogę do biura przyszpitalnej przychodni.

Wyglądało na to, że Harry nie będzie już zameczał Jacka pytaniami, w związku z czym

przeniesiono ją na weekend z powrotem do przychodni.

Ilekczo wspomniała swoje zachowanie poprzedniego wieczoru na werandzie, aż skrecało ją ze wstydu. Oderwali się w końcu od siebie, przywołani do rzeczywistości burzą oklasków dobiegającą z kuchni. Cal oznajmił z zachwytem, że pobili rekord całowania się na sofie, ustanowiony jakiś czas temu przez niego i Ginę.

Kate czmychnęła do swojego pokoju, ale Hamish został, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z tego, że współlokatorzy widzieli, jak się całują.

Teraz znowu ją dopadł i nalega, by poszła z nim na ognisko i upubliczniła związek, który nie istnieje.

– Spodoba ci się, zobaczysz – nie ustępował Hamish.

– Owszem, spodoba mi się, bo tak w ogóle to idę, ale z Suzie. Zaprosiła mnie już wczoraj. A ponieważ ognisko organizowane jest z okazji ponownego zejścia się Jacka z Megan, Megan też z nami idzie. Babski wieczorek.

– Aha! – Hamish zrobił taką zawiedzioną minę, że Kate o mało nie zmieniła zdania, ale kiedy po sekundzie się uśmiechnął, pogratulowała sobie, że tego nie zrobiła.

– Z Susie i Megan, powiadasz? No nic, dobre i to. Odszedł, a Kate mogła wreszcie wrócić do swoich zajęć. Miała w ten weekend zastępować sekretarkę, czyli rejestrować zgłaszających się pacjentów i wydawać im numerki do pełniącego dyżur lekarza, którym był dzisiaj Charles.

Rozejrzała się dyskretnie, ale Charles był nadal na tyłach budynku, gdzie przyjmowano pacjentów przywożonych karetką, albo w gabinecie zabiegowym numer pięć, gdzie skierowała chłopca, który całą noc wymiotował, a potem kobietę z bólem brzucha i pijanego, który wypadł z samochodu kolegi i zdarł sobie skórę z nogi.

– No dobrze, ja tu teraz posiedzę, a ty wracaj do pacjentów. – Do małego biura zajrzała Jane, wesoła sekretarka, która pracowała w rejestracji. – Charles do mnie zadzwonił, powiedział, że Wendy nie przyszła i spytał, czy nie mogłabym jej zastąpić. Bez obawy, pracowałam kiedyś w tej klitce, wiem co i jak.

Wskazała ruchem głowy pijanego wyśpiewującego w poczekalni.

– Co to za jeden? Kate uśmiechnęła się.

– Wezmę go na pierwszy ogień – powiedziała, wyszła z biura i wprowadziła mężczyznę do gabinetu zabiegowego. Opatrzy mu nogę i niech sobie idzie.

Łatwo powiedzieć. Ledwie położył się na kozetce, odbiło mu się potężnie i całą ją obhaftował. Kate zawołała sprzątaczkę, a sama chwyciła czysty fartuch i pobiegła do łazienki. Wyszorowała się dokładnie, ale wiedziała, że przez cały wieczór będzie cuchnęła.

A żeby tego moczymordę!

Kiedy wróciła do gabinetu zabiegowego, mężczyzna siedział na kozetce i miał na tyle przyzwoitości, by zrobić skruszoną minę.

– Pokój zaczął się kręcić, kiedy się położyłem – wyjaśnił.

Kate przystąpiła do wydłubywania pincetą ziarenka żwiru z rany, a on na przemian to śpiewał, to proponował jej małżeństwo. Kończyła już, kiedy do gabinetu zajrzał Charles.

– Jestem potrzebny? – spytał i skrzywił się, czując odór bijący od niej i od pacjenta. – Fuj! Co tu tak cuchnie?

– Może rzucisz okiem – powiedziała – ale według mnie szyć nie trzeba, otarcie nie jest zainfekowane, a więc wystarczy chyba, że przetrę to betadyną i wypuszczę go do domu. Bandażować nie będę, żeby rana wyschła.

– Tak – mruknął Charles i znowu się skrzywił, chociaż powinien już przywyknąć do tego smrodu.

Wyjechał z gabinetu, a ponieważ kolejka pacjentów do gabinetu zabiegowego nie wydłużyła się znacząco, Kate, skończywszy z pijakiem, pobiegła do domu wziąć porządną prysznic i przebrać się w czyste rzeczy.

Suzie zapukała do niej o ósmej wieczorem.

– Gotowa? – zapytała, wchodząc.

– Jak najbardziej – odparła Kate.

Po spokojnym poranku nastąpiło burzliwe popołudnie i dopiero przed piętnastoma minutami skończyła dyżur w przychodni. Ale zdążyła już wziąć prysznic i przebrać się w dzinsy i lekki bawełniany sweterek.

– No to idziemy – zakomenderowała Suzie, ruszając przodem.

– A gdzie Megan? Przecież miałaś ją zabrać.

– Miałam, ale Hamish wybierał się do miasta i zaoferował się, że po nią wstąpi.

Czyżby coś knuł? Dlatego tak dziwnie się uśmiechał?

Kate potrząsnęła głową. Przyjechała tu, by odnaleźć ojca, a nie myśleć o Hamishu i jego knowaniach.

Może na ognisku będzie Harry. Zapyta go o swoją matkę. Powie, że była przyjaciółką znajomej z Melbourne – z dawnych czasów.

Na plaży byli już Emily z Mikiem.

– Cześć, dziewczyny! – powitali je zgodnym chórkim.

Suzie rozłożyła koc przy ognisku. Rozsiadły się na nim z Kate, ale kilka minut później nadszedł Hamish z Megan i gitarą, i musiały się przesunąć, by zrobić im miejsce. W oczach Kate koc skurczył się do mikroskopijnych rozmiarów.

– Niedługo zabieram Jacksona ze szpitala – oznajmiła Megan. – Nie wiem, jak sobie poradzę, bo mama jest z tatą w Townsville.

– Pomożemy ci – obiecała Suzie, otaczając Megan ramieniem. – Wystarczy, że zawołasz, a przybiegnie połowa personelu.

Megan kiwnęła głową.

– Tacy mili wszyscy dla nas byliście... i dla Jacka też, chociaż on nie czuje się jeszcze na tyle dobrze, żebym opowiedziała mu, jak było.

Odwróciła się do Hamisha.

– Mogę mu powiedzieć?

– Że urodziłaś Lucky'ego na rodeo? Megan kiwnęła głową.

Kate wstrzymała oddech. Co odpowie Hamish? Jakie to szczęście, że Megan nie zwróciła się z tym pytaniem do niej.

– Moim zdaniem powinnaś – odparł Hamish – ale niekoniecznie teraz. Sama wyczujesz,

kiedy przyjdzie odpowiedni moment. Wtedy mu powiesz, a on zrozumie.

Wziął Megan za rękę.

– Ty też byłaś bardzo chora i znajdowałaś się pod ogromną presją emocjonalną, a więc nie myśl tylko o Jacku i Jacksonie, ale również o sobie. Czasami, co dobre dla ciebie, nie musi być dobre dla nich, albo dla twoich rodziców. Za długo już dźwigałaś to brzemię.

Megan oparła głowę na jego ramieniu i podziękowała płaczliwym głosem za te słowa.

Rozdano drinki, Hamish przeniósł się z koca na pobliski głąz i uderzył lekko w struny gitary. Zaczęli śpiewać melodyjne ballady, których Kate nie знаła, słuchała więc tylko i czuła się coraz bardziej wyobcowana. Przypomniała sobie, dlaczego przyjechała na ten kontrakt – i dlaczego w ogóle tu przyjechała.

Spojrzała na Hamisha. A może by tak zaniechać poszukiwań? Wyjechać z nim do Szkocji?

Czy to w końcu ważne, kim jest jej ojciec?

Sama już nie wiedziała.

Korzystając z tego, że nikt nie zwraca na nią uwagi, odsunęła się od ogniska, wstała i powłokła w kierunku kępy drzew na skraju plaży.

– Już idziesz? Odprowadzę cię – dobiegł z głębokiego cienia głos Briana.

Wzdrygnęła się przestraszona.

– Przepraszam, musiałem się pożegnać z Mikiem – wysapał Hamish, doganiając ją i obejmując w talii. Ulga, jaką poczuła, była tak wielka, że o mało nie rzuciła mu się w ramiona. – O, cześć, Brian! Idziesz na ognisko?

– Szedłem, ale kiedy zobaczyłem, że Kate wraca, pomyślałem sobie, że ją odprowadzę.

– To miłe z twojej strony, ale ona ma już asystę w mojej osobie. Idź do nich i baw się dobrze. – Hamish przyciągnął Kate do siebie.

– Tak chyba zrobię – mruknął Brian i powłókł się przez plażę w kierunku ogniska.

Kate odsunęła się od swego wybawcy.

– A może ja chciałam, żeby to Brian odprowadził mnie do domu – burknęła gniewnie.

– Trzeba było powiedzieć – zauważył Hamish. – Zrozumiałbym, bo widzę przecież, że mnie unikasz, Kate.

– Tak będzie lepiej dla nas obojga. Hamish znowu ją objął.

– Doprawdy? Jestem innego zdania. Zastanawia mnie też, czy unikasz tylko mnie, bo nie jestem w twoim typie, czy przyjęłaś taką strategię wobec wszystkich mężczyzn, ponieważ obawiasz się ponownego zranienia? To dlatego odeszłaś od ogniska? Dlatego nie zależy ci już na odnalezieniu ojca?

– Też coś! Skąd ci to przyszło do głowy? – warknęła, zirytowana jego przenikliwością.

– Mnie różne rzeczy przychodzą do głowy. – Przytulił ją. – Och, Kate! – westchnął. – Masz prawo czuć się skrzywdzona przez los, ale co chcesz sobie udowodnić, tłumiąc emocje? Jesteś dzielniejsza, niż ci się wydaje. Potrafisz walczyć. Widziałem cię w akcji w wąwozie.

I pocałował ją z takim żarem, że dech jej w piersiach zaparło.

Niedziela w przyszpitalnej przychodni była spokojniejsza, niż się Kate spodziewała. Hamish, który miał dyżur na jakimś innym oddziale szpitala, zajrzał do niej w ciągu dnia i

wyjaśnił, że mieszkańcy prowincjonalnych miasteczek krępują się zawracać głowę lekarzom w niedzielę.

– A może szkoda im marnować niedziele na chodzenie do lekarzy. Nie lepiej zwolnić się z pracy w poniedziałek i połączyć przyjemne z pożytecznym?

– zasugerowała Kate.

Hamish pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Taka młoda i taka cyniczna! W porę wyniosłaś się z wielkiego miasta. Ale coś w tym chyba jest. W poniedziałek mamy tu zawsze największy ruch.

– Szczęście, że poniedziałek mam wolny – mruknęła Kate. – Poniedziałek i wtorek, a od środy do soboty znowu dyżur w przychodni.

– No to ominie cię rodeo – zaprotestował Hamish.

– Pracujesz w ten weekend, nie należy ci się wolne w następny?

Kate wzruszyła ramionami.

– Jestem pracownikiem kontraktowym i podpisując umowę, wyraziłam zgodę na dyżury we wszystkie weekendy – wyjaśniła.

Hamish oparł się o ścianę i przyglądał jej uważnie.

– No tak. – Pokiwał głową. – W dni robocze łatwiej prowadzić poszukiwania. Wiesz co? Mam dla ciebie propozycję. Porozmawiajmy o twojej rodzinie z Charlesem. Z nikim innym, tylko z nim.

– Przecież on wychowywał się na Wetherby Downs, a to setki kilometrów stąd.

– No dobrze, palicho Charlesa. Porozmawiajmy z Harrym. Będzie dyskretny. Ma doświadczenie w takich sprawach. Zbierze potrzebne ci informacje, a wtedy zadecydujesz, czy nadal chcesz skontaktować się ze swoim ojcem.

Kate zrobiła wielkie oczy.

– Co ty wygadujesz? Dlaczego miałabym nie chcieć się z nim skontaktować?

Hamish uśmiechnął się.

– Na pewno przyszło ci już do tej pięknej główki, że nie wiadomo, czy mężczyzna w średnim wieku, żonaty i dzieciaty, byłby zachwycony, gdyby do jego drzwi zapukała ni z tego, ni z owego córka, o której on nic nie wie.

Podszedł i wziął ją za rękę.

– Idź już – powiedziała, wrywając mu ją. – I daj mi spokój.

Miał rację, i to właśnie tak ją rozeźliło.

Z podjazdu dla karetka dobiegło głośnie, natarczywe trąbienie. Wyszła przed budynek w momencie, kiedy za trąbiącym samochodem zatrzymywała się na motocyklu Georgie Turner.

– Łóżko, Kate. Moja pacjentka lada chwila urodzi. Sanitariusz wybiegał już ze szpitala, pchając przed sobą łóżko na kółkach, na podjazd wypadła również Grace, drzemiąca dotąd w gabinecie zabiegowym.

– To moja pacjentka – rzuciła do Kate, pomagając Georgie ułożyć pacjentkę na łóżku. – Uwielbiam porody, kocham dzieci, a poza tym mam w tym tygodniu dyżur na noworodkach, czyli przysługuje mi przywilej powitania tego maleństwa.

– Gdaczysz jak kura, aż dziw, że nie znosisz jajek – ofuknęła ją Georgie, po czym i z

pomocą męża pacjentki potoczyły łóżko na oddział porodowy.

– Przetawię pański samochód i przyniosę panu kluczyki! – krzyknęła za mężem Kate, ale ten był tak przejęty, że nawet jeśli usłyszał, to chyba nie zrozumiał. Na szczęście nie miało to znaczenia, bo zostawił kluczyki w stacyjce.

Kate odprowadziła samochód na parking i wbiegła na porodówkę w momencie, kiedy na świat zawitało nowe życie. Dziewczynka, która zajmie miejsce Jacksona na oddziale noworodków. Popatrzyła po zachwyconych twarzach wszystkich obecnych – wzruszenia nie kryła nawet Georgie, która odbierała pewnie z tuzin porodów w miesiącu.

Noworodki kocha każdy – ale nową dwudziestosiedmioletnią córkę?

Wróciła do przychodni. Jak dotąd jej przyjazd do Crocodile Creek przynosił więcej pytań niż odpowiedzi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Batman i Robin znowu ruszają do akcji. Głos Hamisha wyrwał Kate z zamyślenia. Spojrzała na niego.

– Dlaczego lecisz? – spytała. – Przecież nie masz dyżuru, a poza tym Mike dałby sobie radę.

– Mike skończył właśnie dwudziestoczworgodzinną służbę, a więc za sterami siada Rex, a z nim musi lecieć lekarz. Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym to być ja, zwłaszcza że pacjentem jest dziecko.

Hamish tłumaczył to z taką przesadną cierpliwością, że Kate chciało się zgrzytać zębami.

Batman nie miał chyba w zwyczaju zgrzytać zębami, ale jego pewnie nie ścisnęło tak w dołku, kiedy wsiadał z Robinem do Batmobila.

– Pacjentem jest dziecko?

– Z wyspy Wallaby – przytaknął Hamish. – Niemądre dziecko, które nie posłuchało rodziców i poszło boso na rafę.

– I co?

– Nastąpiło na *kroka*, na rybę kamień.

– A co to, u licha, takiego?

– Jesteś Australijką i nie słyszałaś o *krokach*? Rex podał im słuchawki i przystąpił do procedur startowych.

– To co z tą rybą kamieniem? – zapytała, kiedy znaleźli się w powietrzu.

Hamish uśmiechnął się, ale szybko spoważniał.

– To zjadliwa bestia bardzo podobna do zwyczajnego większego kamienia – wyjaśnił. – Kryje się między innymi większymi kamieniami, a kiedy nie podejrzewająca niczego ofiara na niej siada, zatruwa ją jadem z jednego z kolców rozmieszczonych wzdłuż płetwy grzbietowej.

– Nie do wiary! – mruknęła Kate. – Wiem, że mamy w Australii sporo jadowitych węży i pajaków, ale myślałam, że nie licząc rekinów i parzących meduz, w morzu jest stosunkowo bezpiecznie. To groźny jad? Może zabić?

– W Australii jeszcze się to nie zdarzyło, ale gdzie indziej notowano już przypadki zgonu – wtrącił Rex.

– Jad może porazić nerwy, mięśnie, zatrzymać krążenie i serce. Mamy surowicę i na wyspie też ją mają, ale okazuje się, że przeterminowaną.

– Jak to, wcześniej nie sprawdzili? – mruknęła Kate. – Przecież powinni to okresowo robić.

Hamish kiwnął głową.

– Ale nie robili. Do wyspy jest dwadzieścia minut lotu... O, już ją widać!

Kate wyjrzała przez okno. Z lazurowego morza, otoczony jaśniejszymi kręgami zieleni, wyłaniał się okrągły atol.

– To rafa – wyjaśnił Hamish. – Jeden z powodów, dla których Wallaby cieszy się taką

popularnością wśród turystów.

Wylądowali. Jack podał Kate mały plecak, sam chwycił drugi ze sprzętem reanimacyjnym. Lekkie nosze zostawił.

– Krzyknę, jeśli będą nam potrzebne – powiedział do Rexa, który podszedł do otwartych drzwi. – Chodź – rzucił do Kate.

Wyskoczyli z helikoptera i zgięci wpół pobiegli w stronę grupki ludzi, która zebrała się na skraju lądowiska.

Dziecko, ośmio – może dziewięcioletni chłopiec, siedziało na kolanach matki. Było blade, na twarzy miało maskę tlenową, jedną nogę trzymało w wiadrze z wodą.

Obok tej pary przestępował niepewnie z nogi na nogę młody mężczyzna w hawajskiej koszuli. Jeszcze jeden mężczyzna odłączył się od grupki i skierował w stronę helikoptera.

Hamish skinął głową temu w hawajskiej koszuli, rzucając mu jednocześnie pełne dezaprobaty spojrzenie.

– To Kurt – mruknął do Kate. – Aktualny opiekun apteczki na wyspie Wallaby. Pomyślał przynajmniej o gorącej wodzie.

– Gorącej wodzie?

– Zanurzenie uządlonej części ciała w wodzie o temperaturze czterdziestu do czterdziestu pięciu stopni to najlepsze, co można zrobić, zanim poda się pacjentowi surowicę i go znieczuli.

Postawił plecak na ziemi, Kate położyła obok swój. Sprzęt reanimacyjny nie był na szczęście potrzebny. Hamish przedstawił się chłopcu, Jasonowi, i jego matce, Julie.

– Bardzo mnie boli – poskarżył się płaczliwie chłopiec.

Kate bez trudu znalazła w plecaku ampułki z surowicą przeciwko jadowi ryby. Przełamała jedną i napełniła strzykawkę. Hamish oglądał tymczasem ranę chłopca, pytając matkę o uczulenia.

– Będzie potrzebna jeszcze jedna ampłka surowicy, Kate – rzekł cicho. – Podajemy jedną na każde dwie rany klute, a małemu Jasonowi udało się nastąpić na aż cztery z trzynastu kolców tej bestii.

Potem zwrócił się do Jasona:

– Zaboli, kiedy cię ukłuję, Jason, ale to pestka w porównaniu z bólem, który zadała ci ta wstrętna ryba, a więc bądź dzielny.

Zrobił Jasonowi domięśniowy zastrzyk z surowicy w udo. Chłopiec tylko się skrzywił, za to jego matka pobladła i chyba by się przewróciła, gdyby Kate w ostatniej chwili jej nie podtrzymała.

– Słabo mi się robi na widok igły – szepnęła, dziękując Kate uśmiechem.

– Nie znam nikogo, komu by się nie robiło – pocieszyła ją Kate.

– Dobra, teraz postaramy się uśmierzyć ten ból, Jasonie – ciągnął Hamish. – Kate, tam gdzie jest opakowana sterylne strzykawka z bupivacainą – oznajmił. – Zaaplikujemy młodemu człowiekowi blokadę. To lepsze niż znieczulenie miejscowe.

Kate znalazła i wręczyła mu opakowanie ze strzykawką. Hamish zrobił chłopcu kolejny zastrzyk.

– Zbadam go, kiedy lek zacznie działać. Na tym etapie parę minut wcześniej czy później nie robi już różnicy.

Matkę też przydałoby się zbadać, pomyślała Kate, dopiero teraz spostrzegając, że Julie jest w ciąży.

– Zabieramy was oboje na kontynent – oznajmił Hamish, kiedy Kate kończyła wypełniać formularz badania. – Jad ryby kamienia może wpływać na różne części ciała, musimy więc wziąć Jasona pod obserwację na co najmniej tę noc. Trzeba również zająć się samymi ranami. Zrobimy mu prześwietlenie, żeby upewnić się, czy w stopie nie pozostały odłamki kolców i niewykluczone, że trzeba mu będzie podać antybiotyki, jeśli okaże się, że rany są zainfekowane.

– A co z moim mężem? – spytała Julie. – Wypłynął rano na ryby, nie wie, co się stało.

– Chce pani, żebyśmy go powiadomili? Możemy skontaktować się z łodzią przez radio – zaproponował Kurt.

Julie zastanowiła się, potem spojrzała na Hamisha.

– Mam go powiadomić?

Kate wychwyciła w jej tonie pytanie: Czy życiu mojego synka coś zagraża?

– Otoczymy Jasona wszechstronną opieką – powiedział Hamish. – Ośrodek wypoczynkowy dysponuje małym helikopterem i w każdej chwili może przewieźć nim do nas pani męża, ale decyzja o tym, czy powiadomić go teraz, czy później, należy tylko i wyłącznie do pani.

Kurt pokiwał potwierdzająco głową.

– No to niech sobie łowi te ryby – zdecydowała Julie. – Będzie zły, że nie dałam mu znać, ale przez cały rok ciężko pracuje i należy mu się trochę wypoczynku.

– Łódź wraca wczesnym południem, a więc mąż zdąży jeszcze zabrać się naszym helikopterem, który leci wieczorem na kontynent – wyjaśnił Kurt. – Każę pokojówce spakować państwa rzeczy, a potem wyjdę na przystań i kiedy łódź wróci z morza, powiem panu Ansteadowi, co się stało. Na lotnisku w Crocodile Creek będzie czekał nasz agent i zawiezie go do szpitala.

Hamish kiwnął głową na znak, że odpowiada mu takie załatwienie sprawy, ale był wciąż wściekły na Kurta, że zaniedbał kontrolowanie terminów ważności leków.

– No, kolego Jason, a teraz do helikoptera – powiedział, schylił się, zdjął chłopcu maskę tlenową i wziął go na ręce.

Kate zarzuciła na plecy jeden plecak, dźwignęła z ziemi drugi i poprowadziła Julie przez lądowisko.

– Chcesz usiąść z przodu? – spytał Hamish Jasona.

– No pewnie.

Entuzjazm w głosie chłopca upewnił Hamisha, że dawka jadu, która przeniknęła do organizmu, nie była duża. Albo ryba kamień była jeszcze młoda, albo Jason nastąpił na nią tak lekko, że kolce płytko wbiły się w stopę. Nie licząc bólu, Jason nie wykazywał żadnych oznak zatrucia jadem. Jak dotąd!

Rex posadził chłopca w fotelu drugiego pilota i wyjaśnił mu, do czego służą poszczególne

przełączniki i zegary.

– Jak chcesz, to możesz mi pomagać – zaproponował. – Weź to i rób to co ja.

Założył małemu hełmofon.

Kate pomagająca Julie zapiąć pas bezpieczeństwa, spojrzała z niepokojem na kokpit. Hamish uśmiechnął się. Z tego, co wiedział, nie leciała jeszcze helikopterem na przednim fotelu, nie wiedziała więc, że drugi zestaw przyrządów nie działa, o ile nie uaktywni się go specjalnym przełącznikiem. Hamish podał Julie drugą parę słuchawek.

– Załóż je. Będiesz mogła rozmawiać z Jasonem. – Pokazał jej mały mikrofon, po czym podał Kate biały hełm również wyposażony w słuchawki i mikrofon. Hełm umożliwił pasażerom helikoptera porozumiewanie się bez podnoszenia głosu do krzyku, ale jemu rozmowy z Kate nie ułatwi – bo jak tu rozmawiać z kimś, kto nie chce słuchać...

Charles czekał na nich przy lądowisku dla helikoptera.

– Co z chłopcem? – spytał Hamisha, kiedy Kate pomagała Julie wysiąść z maszyny, a Rex wyjmował Jasona z kokpitu i układał na noszach podstawionych przez dwóch sanitariuszy.

– Widzisz, stary, sam doleciałeś do szpitala! – zawołał Rex, a Hamish dostrzegł w oczach małego Jasona zachwyty.

– Fajne są te helikoptery – zapewnił Rexa chłopiec, a Hamish kiwnął głową.

– Myślę, że wszystko w porządku – powiedział – ale musimy coś zrobić z tą apteczką na Wallaby. Nie jest regularnie sprawdzana.

– Polecę tam osobiście jeszcze w tym tygodniu i zrobię z tym porządek – obiecał Charles, a potem spojrzawszy spod łba na Kate idącą obok noszy, na których wieziono Jasona.

Hamish po raz pierwszy był naocznym świadkiem tej reakcji – tego patrzenia wilkiem, o którym wspominała mu Kate.

– To dobra pielęgniarka – rzekł do Charlesa – bardzo oddana pracy.

Charles przeniósł na niego wzrok.

– Przecież wiem – burknął.

– To dlaczego tak ponuro na nią popatrujesz?

– spytał i zauważył, że przez twarz Charlesa przemknął cień smutku.

– Na nią? To moje myśli tak mnie nastrajają, Hamish, nie twoja Kate.

– Ona nie jest moją Kate! – warknął Hamish, odwrócił się na pięcie i pomaszerował w ślad za karawaną składającą się z noszy, pacjenta, jego matki i pielęgniarki, która zniknęła już w szpitalu.

Dogonił ich przy wejściu do przyszpitalnej przychodni i kazał wieźć Jasona prosto do gabinetu zabiegowego. Zrobi tam chłopcu prześwietlenie przenośnym aparatem, sprawdzi na zdjęciach, czy w stopie nie utkwiły odłamki kolców, potem oczyści i opatrzy rany. Jeśli trzeba będzie usuwać kolce, to przeprowadzi ten prosty zabieg na miejscu.

W gabinecie czekała już Grace. Przedstawiła się Jasonowi i wyjaśniła, że będzie pomagała doktorowi Hamishowi.

– Będziemy musiały wyjść na czas prześwietlenia – zwróciła się Kate do Julie. – Napiałabyś się czegoś? Kawy, herbaty?

– Chętnie! Słabej herbaty pół na pół z mlekiem. Na ogół unikam teiny, ale dzisiaj nie odmówię.

Kate posłała salową po herbatę i ciasteczka, i posadziła Julie przy stoliku pod gabinetem zabiegowym.

– Kiedy masz termin?

Julie spojrzała na nią zaskoczona, potem przyłożyła dłoń do brzucha.

– Wiesz, prawie zapomniałam o dziecku! To trzydziesty drugi tydzień. Mąż wziął kilka dni urlopu i przyjechaliśmy tu na ostatnie wakacje przed rozwiązaniem. Nie wiadomo, czy szybko trafi się następna taka okazja, kiedy rodzina się powiększy.

Z gabinetu zabiegowego wyszedł Hamish. Powiedział, że oczyścił już rany i Jason jest gotowy do przeniesienia na salę dziecięcą.

– Zatrzymuję go na noc na obserwacji – wyjaśnił.

Julie poszła z Jasonem i Hamishem do sali dziecięcej, Kate zajrzała do chłopca później, schodząc z dyżuru.

Ojciec Jasona już przyleciał z Wallaby i miał spędzić przy łóżku synka noc, podczas gdy Julie zarezerwowała sobie pokój w hotelu.

– Zauważyłaś, że bardziej przywiązujemy się do tych pacjentów, których przywozimy osobiście helikopterem? – spytał Hamish, kiedy wychodzili ze szpitala.

Kate kiwnęła głową, ale nie odpowiedziała.

Był wczesny wieczór, księżyc jeszcze nie wzeszedł i chociaż na bezchmurnym niebie pojawiły się już gwiazdy, to ścieżka przez ogród pogrążona była w mroku.

– Przepraszam za tę ostatnią sobotę – mruknął Hamish.

Tego Kate nie spodziewała się usłyszeć. Zatrzymała się pod krzewem imbiru i spojrzała na niego uważnie.

– Dlaczego?

Hamish wziął głęboki oddech. Czy wyznając, że ją kocha, zniszczyłby tę delikatną więź, która się między nimi wytworzyła?

Wziął jeszcze jeden oddech.

– Kocham cię, Kate – powiedział cicho.

– Wiem, Hamish – szepnęła. – Ale nie wiem, co ci na to odpowiedzieć. Mam kompletną pustkę w głowie.

Nie było to wiele, ale podniosło Hamisha na duchu.

– Chodźmy na kolację do Athiny i porozmawiajmy. Przedyskutujmy gruntownie sprawę. Musi być jakieś wyjście z sytuacji. Poza tym jeszcze tam nie byłaś. To najbardziej ro... – W porę ugryzł się w język. – To urocza restauracyjka. Prowadzą ją rodzice Mike’a.

Wziął ją za rękę, uniósł je do ust i złożył pocałunki na każdym palcu z osobna. Nie cofnęła co prawda dłoni, ale pokręciła głową.

Ogarnęła go złość.

– A z Harrym poszłaś wczoraj wieczorem do pubu! – wyrzucił z siebie.

– Drink z Harrym w pubie niczym nie zagraża – odparła cicho. – Zresztą oblewaliśmy fakt, że Jackowi nie postawiono żadnego zarzutu. Aresztowano Todda i Diggera. Jack zgodził

się przeciwko nim zeznawać i jego zeznania pokrywają się z tym, co mówi Digger. Jest więc teraz czysty. Świętowaliśmy to.

– Kolacja ze mną też mogłaby być świętowaniem!

– warknął, rozeźlony nie wiedzieć czemu, bo jej wyjaśnienia były sensowne.

– My nie mamy czego świętować – zauważyła.

– Bo się zaparłaś. – Mówił o wiele za głośno, ale nie panował nad sobą. – Musisz coś do mnie czuć, inaczej byś mnie tak nie unikała. Mogłabyś mnie traktować tak, jak traktujesz Cala albo Mike’a, albo tego cholernego Harry’ego! Ale nie. Skaptowałaś nawet do pomocy Grace...

– Grace? Do pomocy w czym?

– W unikaniu mnie.

Wiedział, że to nieprawda. Kate była zbyt skryta, by rozmawiać o swoich uczuciach z Grace, czy w ogóle z kimkolwiek. Najchętniej cofnęłyby te słowa, ale było już za późno.

Ta delikatna więź – prawdziwa, czy wymaginowana – na pewno uległa zerwaniu. Czy na pewno?

Kate zabrała ręce, ale nie odsuwała się od niego. Stłumił gniew, objął ją i przytulił. Odetchnął głęboko i spróbował innej taktyki:

– Pytałaś Harry’ego o swoją matkę? Pokręciła głową, spojrzała na niego i usiłowała się uśmiechnąć. Wargi jej drżały.

– Nie mogę się przemóc – powiedziała cicho. – Zresztą czy to ma jakieś znaczenie? Czy naprawdę mi na tym zależy? Sama już nie wiem.

Pocałowała go delikatnie i odsunęła się.

– Przyjechałam tutaj pod wpływem emocji. Poszukiwanie ojca pomagało mi spychać na bok to, z czym nie mogłam sobie poradzić: żal, poczucie straty, gniew. Pomagało zająć czymś myśli.

Znowu musnęła wargami jego usta.

– Potem poznałam ciebie i... i strasznie się przeraziłam, Hamish.

Przyciągnął ją i przytulił.

– Wiem, że cię raniłam przez kilka ostatnich dni, ale zrozum mnie. Bałam się panicznie doznać kolejnego zawodu.

Hamish pocałował ją w czubek głowy.

– To ci nie grozi, możesz mi wierzyć. Uda nam się.

– Tak myślisz? – spytała, odsuwając się. – Bo ja wątpię.

– Uda się! – powtórzył z przekonaniem. – Zapewniam cię, że podchodzę do tego bardzo poważnie. Myślisz, że jak ja się czuję? Trzydzieści lat na karku i wpadam w sidła zjawiska, z którego pokpiwałem sobie przez całe swoje dorosłe życie. Romantyczna miłość. Też mi coś!

Urwał, spojrzał na nią, odgarnął jej z czoła kosmyk włosów. Czy wyczuwała zmianę, jaka w nim zaszła? Czy domyślała się, co czuje, patrząc tylko na nią?

Jak to wyjaśnić?

– I nagle, pewnego popołudnia dwa tygodnie temu, przejrzałem na oczy – podjął cicho. – A sprawił to promień słońca, który padając na pasmo kasztanowych włosów, zmienił je w

złoto...

Nie dokończył, bo Kate zamknęła mu pocałunkiem usta.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Wierzyć mi się nie chce – powiedziała, kręcąc głową. – Tyle serca włożyłeś w organizowanie tego rodeo, a w dniu, kiedy ma się odbyć, bierzesz dyżur.

Hamish wzruszył ramionami.

– Niech idą na nie inni, ci, którzy tu zostają i będą nadal sprawowali opiekę nad mieszkańcami Wygery. Ja w przyszłym tygodniu wyjeżdżam i więcej ich pewnie nie zobaczę.

Kate ścisnęło w dołku, kiedy wspomniał o wyjeździe. Starła się o tym nie myśleć.

Ale myślała. Często...

Cóż, mogłaby pojechać z nim do Szkocji. Oferta była wciąż aktualna...

Ale do tego trzeba wiary, a ona jakoś nie mogła tej wiary w siebie wykrzesać. Z tym, że kiedy go całowała...

A raczej kiedy on ją całował...

– Poza tym – ciągnął Hamish – ty też się na nie wybierałaś, a mając do wyboru rodeo bez Kate albo szpital z nią, wolę już to drugie.

Rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko.

– Przestań! – syknęła zadowolona, że w przychodni nie ma ani jednego pacjenta i nikt tego nie słyszał. Chyba całe Crocodile Creek pojechało na rodeo.

– Co mam przestać?

Hamish spojrzał na nią niewinnie.

– Uśmiechać się do mnie. I wygadywać takie rzeczy. Wiesz, że nie chcę angażować się w żadne związki.

– Czyżby, Kate? – mruknął, kładąc jej dłonie na ramionach i przyciągając ją do siebie. – Czyżby?

– powtórzył i pocałował ją. – Czyżby? – powtórzył bez tchu, kiedy się od siebie oderwali.

– Nie rób tego, Hamish – wykrztusiła błagalnie.

– Ja naprawdę, naprawdę tego nie chcę.

– Tylko dlatego, że zostałam zraniona, że wszystko, w co wierzyłam, okazało się fałszem. Ale tym razem to nie jest fałsz, Kate. Chyba czujesz w głębi serca, że to nie jest przelotny romans, nie fizyczny pociąg ani żądza, ani żaden inny z pretekstów, które sobie wymyślasz, żeby się do mnie zniechęcić.

Spojrzała na niego i pokręciła głową, ale odpowiedzieć już nie zdążyła, bo w tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i do przychodni wpadł Mike.

– Wy macie dzisiaj dyżur na ratunkowym? Kate kiwnęła głową.

– Oboje jesteśmy ci potrzebni? – spytał Hamish.

– Chyba tak. Wypadek drogowy z udziałem wielu pojazdów na przełęczy. Karetka już tam jedzie. Była na rodeo i stamtąd ruszyła. Rodeo się skończyło i nasi są już w drodze powrotnej do Crocodile Creek, a więc szpital nie postoi długo pusty.

– Powiem tylko komuś, że lecimy – rzuciła Kate i wybiegła.

– Nie wychodzi ci z nią? – spytał Mike, kiedy drzwi się za nią zamknęły.

Hamish spojrział zaskoczony na przyjaciela.

– Co powiedziałaś? Mike roześmiał się.

– Daj spokój, stary. Cały szpital mówi o tobie i Kate. Ludzie zakładają się, ile czasu ci jeszcze potrzeba, żeby... no, żeby wreszcie zaciągnąć ją do łóżka.

– Ja im się pozakładam – warknął Hamish. – I w ogóle jak śmieją mówić o niej w ten sposób.

Mike dotknął jego ramienia.

– Spokojnie – powiedział. – Wiesz, jak to jest. To w niczym nie uwłacza tobie ani Kate. Wszyscy was lubią. Wyszło niedawno na jaw, że Walter Grubb z tego pubu Pod Czarną Kakadu też prowadził zakłady, kiedy ja zejść się w końcu z Emily. I trwało to dobrych kilka lat.

Słowa Mike'a ostudziły trochę gniew Hamisha.

Wyszedł za nim do helikoptera, zachodząc w głowę, co też Kate chciała powiedzieć, gdy Mike jej przerwał. Pewnie znowu, żeby dał jej spokój.

Dlaczego więc jej go nie daje?

Bo nie może, ot dlaczego. Gdzieś w głębi duszy wiedział z całą pewnością, że jego przyszłość jest związana z Kate, i nie zachwieją tą pewnością żadne uniki, zaprzeczenia, i tak, głupie żarciki.

Do helikoptera podbiegła Kate. Wzięła od Mike'a kombinezon, trajkocząc przez cały czas, tak jakby nie miała na głowie żadnych zmartwień.

A miała – i to mnóstwo – co dowodziło, o ile lepsza jest od niego w ukrywaniu emocji!

Mrucząc gniewnie pod nosem, bo z tego wszystkiego trafił nogą nie w tę nogawkę kombinezonu, odpędził od siebie te niewesołe myśli.

– Gdzie ten wypadek? – zwrócił się do Mike'a.

– Na samym szczycie przełęczy, czy gdzieś niżej?

– Niżej, i po tamtej stronie. Kilometr od szczytu jest tam taka zatoczka, gdzie będę mógł wylądować. W pociągu drogowym z pełnym ładunkiem bydła, który zjeżdżał z przełęczy, nawaliły hamulce i kiedy skręcał na górkę bezpieczeństwa po drugiej stronie drogi, zderzył się z nadjeżdżającym z przeciwka samochodem.

– Pociąg drogowy z ładunkiem bydła? Znaczący, ciągnik siodłowy z trzema naczepami? Setki sztuk bydła, w tym wiele martwych albo poranionych, reszta rozpełzła się po szosie? Czarno to widzę.

– Ja też – przyznał Mike.

Lot nie trwał długo, ale kiedy przybyli na miejsce wypadku, zapadał już zmierzch. Na dole panował nieopisany chaos. Na szosie leżały martwe i zdychające krowy, a te, które były już nie do uratowania, policjanci dobijali strzałami z karabinów.

Mike posadził maszynę na przydrożnym parkingu i kiedy otwierał drzwi, huknął kolejny strzał. Kate skrzywiła się odruchowo.

– Szkoda, że nie jesteśmy weterynarzami – powiedziała.

– Dostyc będziemy mieli roboty z rannymi ludźmi – zauważył Hamish. Kate, patrząc na zmiżdżone kabiny dwóch naczep, wątpiła, czy będzie kogo ratować. Strażacy z brygady

ratowniczej byli już na miejscu i rozcinali pocięty metal gigantycznymi otwieraczami do puszek.

Podszedł do nich Harry.

– Wydobycie kogoś? – spytał go Hamish.

– Jeszcze nie – odparł zrezygnowanym tonem Harry. – Ta mniejsza naczepa należy do Alcottów – tych, co przywieźli na rodeo cztery byki. Wszystkie cztery są pewnie nadal w środku. Nie zaglądaliśmy jeszcze do nich.

Pokręcił głową i odszedł na stronę, żeby odebrać telefon od kogoś ze swoich ludzi.

– Rzućmy okiem na te kabiny – zaproponował Mike, po czym ruszyli we trójkę w kierunku trwającej akcji ratowniczej – Kate i Hamish z torbami lekarskimi, Mike z noszami.

Ciągnik pociągu z bydłem i samochód, który zderzył się z nim czołowo, tworzyły masę pogniecionego żelastwa splątaną tak, że trudno było orzec, gdzie kończy się ten pierwszy, a zaczyna drugi.

– Jeszcze jedno cięcie i będziecie mogli wydobyć faceta od góry – rzekł jeden ze strażaków. Cofnęli się, by nie przeszkadzać. – Jak go już wyciągniecie, będziemy mogli się dostać do tego drugiego samochodu, chociaż wątpię, czy ktoś tam przeżył.

Kierowca ciągnika był półprzytomny, ale reagował na głos Hamisha. Hamish, zdając sobie sprawę, że liczy się tutaj każda minuta, uwijał się jak w ukropie. Podał mężczyźnie tlen, założył mu na szyję kołnierz usztywniający i wsunął pod plecy krótką deseczkę usztywniającą, żeby podczas unoszenia go do pozycji siedzącej kręgosłup jak najmniej się odkształcał.

Po kilku minutach mężczyzna leżał już na ziemi daleko od strażaków, którzy przy pomocy wielkich nożyc i małego dźwigu zamontowanego na ich wozie bojowym próbowali rozdzielić oba pojazdy.

Hamish pracował jak w transie. Kate przemknęło przez myśl, że służby ratownictwa medycznego poniosą wielką stratę, kiedy wróci do Szkocji i poświęci się pediatrji, jak to zapowiadał.

– Oddech w porządku, puls dobrze wyczuwalny, ciśnienie sto czterdzieści dziewięć na osiemdziesiąt, wysokie, ale ujdzie. Żadnych oznak złamania żeber, lekkie potłuczenia bez znaczącej utraty krwi, żadnych obrażeń twarzy wskazujących, że uderzył głową o przednią szybę, żadnych widocznych urazów czaszki...

Hamish dyktował, Kate zapisywała, Mike podłączał kroplówkę.

– To wszystko, co widzę – oznajmił w końcu Hamish. – Stan dosyć stabilny, pozwalający na transport. Nieśmy go do helikoptera. Podrzucisz pacjenta do miasta, Mike, a my tu zaczekamy. Może uda się wydobyć kogoś żywego z tego drugiego samochodu. Karetka powinna tu wkrótce dotrzeć. Wrócimy nią do miasta.

– Niech Harry da mi znać przez radio, gdybym był tu jeszcze potrzebny – powiedział Mike, sadowiąc się za sterami i zapuszczając silnik.

Przyjechał holownik i zaczął ściągać z drogi martwe krowy. Z naczepy wiozącej byki dobiegały żalosne porykiwania.

Do Kate i Hamisha podbiegł Harry.

– Sprawdziliśmy – powiedział. – Alcottowie przywieźli na rodeo cztery byki, ale w tej naczepie jest teraz tylko jeden, za to wielki. Na imię ma chyba Oscar. Przebiera nogami, parska i ryczy jak nie wiem co, ale nie ma tu nikogo, kto by wiedział, jak się z nim obchodzić, i boję się go wypuścić. – Wskazał ruchem głowy leżącą na boku, w poprzek drogi, naczepę z uwięzionym w niej rozwścieżonym bykiem. – Chyba trzeba go zastrzelić.

– Nie wolno zabijać zdrowych zwierząt – zachnął się Hamish.

Harry wzruszył ramionami.

– A uspokoisz go? – zapytał.

Kate podeszła do naczepy i zajrzała przez wycięty w niej przez strażaków otwór. Zobaczyła wielki, szaroczarny łeb z zakrzywionymi rogami, poniżej oklapłe uszy i wpatrzone w nią oczy. Zwierzęciu udało się jakoś podnieść na cztery nogi i stało teraz na burcie, tupiąc i rycząc czy to ze strachu, czy z wściekłości.

Zaczęła przemawiać do niego łagodnie, ale on ani myślał się uspokoić i dalej wyrykiwał swoją skargę przy akompaniamencie przeraźliwego pozgrzytywania tratowanej racicami blachy.

– Mamy ich, doktorze! – zawołał jeden ze strażaków, toteż Kate, zostawiwszy rozeźlonego byka, podbiegła za Hamishem do kabiny.

Niestety pasażerowie, mężczyzna i kobieta, nie żyli.

– Tyle razy już to widziałem, a nadal nie mogę się pogodzić z faktem, że w wypadkach drogowych ginie tyle ludzi – oznajmił Hamish, prostując się po zbadaniu ciała. – O, jest karetka.

Kate dała ręką znak kierowcy ambulansu.

– Zabiorą ich do miasta. Formularze wypełnimy w szpitalu. Harry będzie chyba wiedział, co to za jedni i kogo należy powiadomić.

– To Jenny i Brad Alcottowie – rzekł zdławionym głosem jeden z ratowników. – Poznali się jakiś czas temu na rodeo. Brad był zawodnikiem, a matka Jenny od lat przyjeżdżała na każde zawody furgonetką z fast foodami. Zmarła pół roku temu na raka trzustki. Opiekowali się nią do końca.

Kate, po dwóch tygodniach spędzonych w prowincjonalnym miasteczku, nie dziwiło już, że ludzie tyle tu o sobie wiedzą. Wzruszył ją tylko ton, jakim ratownik mówił o ofiarach.

– Ich Oscar to najlepszy byk w okolicy – ciągnął mężczyzna, zwracając się do Hamisha. – Nie wiem, kto go teraz przygarnie...

Urwał i rozejrzał się z paniką w oczach.

– O jasny gwint, a gdzie Lily?

– Jaka Lily? – zapytali równocześnie Hamish i Kate.

– Ich córeczka – wyjaśnił. – Była z nimi na rodeo.

Hamish i Kate spojrzeli po sobie. Kate zareagowała pierwsza. Zanurkowała na zakrwawione fotele, z których wyciągnięto przed chwilą martwych dorosłych, i zaczęła macać gorączkowo w zakamarkach pogietej blachy.

Hamish siłą wyciągnął ją z wraku, tłumacząc, że łatwiej będzie znaleźć małą, jeśli dźwig wyrwie najpierw pogiete przednie fotele.

– Ale ona może jeszcze żyje. Może jest ranna i przy usuwaniu foteli jeszcze bardziej ucierpi. – Kate zdawała sobie sprawę, że zachowuje się nieprofesjonalnie, ale na samą myśl o dziecku uwięzionym w zgniecionym samochodzie ciemno robiło się jej przed oczami.

Strażak podczepił hak pod mniej uszkodzony fotel pasażera i dał znak operatorowi dźwigu.

Dziewczynka leżała zwinięta w kłębek we wnęce na nogi. Jasne włoski, różowa sukienka i krew. Mnóstwo krwi.

Kate wyrwała się Hamishowi i uklękła przy dziecku.

– Żyj, cholera, żyj! – powtarzała, szukając bezskutecznie pulsu.

Hamish ukląkł obok i też przyłożył dłoń do szyi małej.

– Jest puls!

Kate zamknęła oczy i odmówiła modlitwę dziękczynną. Nie miała pewności, czyjej modlitw ktoś tam ostatnio słucha, ale na wszelki wypadek podziękować nie zaszkodzi.

– Lily! – rzekł łagodnie Hamish. – Kochanie, jesteśmy tu, żeby ci pomóc. Trzymam rękę pod twoimi plecami. Czy możesz zrobić mi tę przyjemność i wziąć głęboki oddech?

Kate czekała w napięciu. Po chwili Hamish kiwnął głową i ujął dziewczynkę za rękę.

– Teraz trzymam cię za rękę. Możesz uścisnąć moją dłoń?

Chwila wyczekiwania.

– Wspaniale! Porusz teraz palcami u stóp... Dobrze, a teraz unieś główkę i spojrzysz na nas... Widzę, nie możesz...

Kate, głaskająca dziewczynkę po pozlepianych krwią włosach, spojrzała z niepokojem na Hamisha.

– Tu, nad prawym uchem, jest rozcięcie. To z niego pochodzi większość krwi. Ale jeśli miała zapięty pas bezpieczeństwa...

– Nie miałam zapiętego pasa. Mamusia mnie skrzyczy.

Te stłumione słowa wstrząsnęły Kate do głębi. Objęła małą i przytuliła.

– Może to jeden z tych przypadków, w których niezapięcie pasa wychodzi na dobre – zauważył Hamish, wsuwając ręce pod dziecko, by je podnieść. – Lily, musimy cię stąd zabrać i porządnie zbadać. Podniosę cię teraz, dobrze?

Kate odebrała dziewczynkę od Hamisha, a ta przyłgnęła do niej kurczowo.

– Myślisz, że ona wie? – spytała Hamisha samym ruchem warg ponad główką małej.

– Chyba tak – mruknął posepnie Hamish. – Była przez cały czas przytomna i nie mogła nie słyszeć naszej rozmowy. – Hamish opatrzył ranę nad uchem i jeszcze raz zbadał Lily. – Chyba wszystko w porządku – orzekł, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– To Lily! Przeżyła! – Podszedł do nich Harry z karabinem w ręku. – Cześć, Lily! To ja, Harry. Jak się czujesz, malutka?

Dziewczynka uniosła główkę i spojrzała najpierw na policjanta, a potem na karabin.

– Do czego będziesz strzelał, Harry? – zapytała.

Harry ściągnął brwi i rozejrzał się, wyraźnie stropiony tym pytaniem. Byk, który na szczęście uciszył się, kiedy ratowali Lily, znowu zaczął ryczeć, i w tym momencie w dziewczynkę jakby nowy duch wstąpił. Zawierzała nóżkami, zamachała rączkami, wyrwała

się z objąć Kate i pobiegła do naczepy.

– To Oscar! Chciałeś zastrzelić Oscara! Hamish dopadł do niej w paru susach i odciągnął od wielkiego łąba wystającego z dziury wyciętej w dachu przewróconej naczepy. Kopała, okładała go piąstkami, byk też się zdenerwował.

– Wszystko w porządku, Lily – powiedział Hamish, przytulając dziewczynkę. – Harry nie zastrzeli Oscara. Nie pozwolimy mu.

Oddał ją Kate, a ta pocałowała małą i wymruczała:

– Zostaniemy tu we dwie i porozmawiamy z Oscarem, a Harry z Hamishem zastanowią się tymczasem, jak go uwolnić.

– Chyba nie mówisz poważnie! – syknął Hamish, spoglądając na Kate, potem na byka i znowu na Kate.

– Coś wymyślisz – rzekła Kate, tuląc do piersi Lily. – Nie ma tu weterynarza? Nie można go jakoś uśpić?

– Próbowałem ściągnąć weterynarza, ale on jest teraz na ranchu Cooperów na okresowym przeglądzie bydła – powiedział Harry.

– Mamy w torbach środki uspokajające, ratownicy z karetki też je pewnie mają – zauważyła Kate. – Trzeba tylko wyliczyć dawkę. Hamish, ile może ważyć taki byk?

– Jestem Szkotem – zaprotestował Hamish. – Owszem, mamy tam u siebie krowy, ale to małe, włochate, spokojne stworzenia i wierz mi; nie mam pojęcia, ile ważą, a co dopiero to bydło.

– A ile może ważyć taki naprawdę gruby facet? Sto pięćdziesiąt kilogramów? Spójrz teraz na Oscara i zastanów się, ilu takich grubych facetów zmieściłoby się w jednym Oscarze...

– Chyba żartujesz!

– A masz jakiś inny pomysł? – spytała Kate.

– To chyba najlepszy sposób – poparł Kate Harry.

– No a jak mu to zaaplikujemy? – spytał Hamish. Harry pokręcił głową. Kate obejrzała się na byka, który patrzył ponad jej ramieniem na Lily.

– Domięśniowo – wyjaśniła Hamishowi z uśmiechem. – Bo żyły wolałabym jednak u niego nie szukać.

Hamish znowu pokręcił głową, ale po wargach błąkał mu się teraz nikły uśmieszek. Kate wiedziała, że wygrała.

– Sprawdź, ile tego mamy – powiedział, uśmiechając się już otwarcie. – A ty się tymczasem zastanów, jak do niego wejdiesz.

– Wygląda mi na sympatycznego byczka – zwróciła się Kate do Lily, kiedy obaj mężczyźni się oddalili.

– Jest mój – oświadczyła dziewczynka. – Mój własny. I jesteśmy przyjaciółmi.

– To się cieszę – mruknęła Kate, spoglądając z powątpiewaniem na olbrzymie zwierzę.

Byk wyglądał jej na takiego, który swoich przyjaciół zjada na śniadanie. Z tym, że miał łagodne brązowe oczy i jak lepiej się przyjrzeć, nawet sympatyczny pysk.

– Pozwoli ci się pogłaskać?

– No pewnie, że pozwoli. – Lily sięgnęła chudą rączką do dziury w naczepie.

– Uważaj, nie skalecz się – ostrzegła ją Kate, ale rączka była już w środku i dotykała miękkiego nosa.

– A mnie pozwoli się dotknąć? – spytała Kate. Lily przyjrzała się jej uważnie.

– Jak mu powiem, żeby pozwolił – odparła bez cienia zuchowatości lub przechwałki w głosie.

– No dobrze. A powiesz Oscarowi, żeby pozwolił mi się dotknąć, kiedy doktor Hamish wróci tu ze strzykawką? Nawet nie poczuje zastrzyku. Zaśnie, a wtedy strażacy wytną większą dziurę, wydobędą go z naczepy i przeniosą na ciężarówkę.

– I dokąd go zawiezie ta ciężarówka?

– Tam, dokąd każesz.

– Musi pojechać tam, gdzie ja – powiedziała Lily łamiącym się głosikiem i ciepłe łzy spłynęły Kate na szyję. – Musi zostać ze mną. Jest mój, mój.

– Zostanie z tobą, kochanie, oczywiście, że zostanie – obiecała Kate.

Wrócili Hamish z Harrym. Hamish niósł wielką strzykawkę stosowaną do przepłukiwania uszu.

– A masz do tego igłę? – spytała Kate. Hamish kiwnął dumnie głową.

– Nie byłbym Szkotem, gdybym nie potrafił improwizować. – Pokazał swój wynalazek. Na tępą końcówkę strzykawki nasunął twardą plastikową kaniulę, a do kaniuli wepchnął igłę do zastrzyków domięśniowych. – Gotowa?

– Ja?

Mogła sobie rozmawiać z Lily o dotykaniu byka, ale w głębi duszy była przekonana, że Hamish i Harry jej na to nie pozwolą. Równouprawnienie kobiet równouprawnieniem, ale ten byk jest naprawdę wielki i przerażający.

No nie! Hamish podaje jej strzykawkę! Za żadne skarby!

– Lily, powiedz Oscarowi, że doktor Hamish jest przyjacielem.

Dziewczynka, widocznie nie wierząc Kate na słowo, spojrzała bacznie na Hamisha.

– Ale nie robi mu pan krzywdy, prawda? Hamish uśmiechnął się i dotknął jej policzka.

– Nic nie poczuje – obiecał.

– To ja go przytrzymam.

Wciąż obejmując Kate jedną rączką za szyję, wyciągnęła drugą w stronę naczepy i rozkazującym tonem zawołała:

– Oscar, chodź!

Byk posłusznie wyciągnął szyję, opuścił łeb i trącił nosem jej dłoń. Dziewczynka pogłaskała go po nosie, a potem chwyciła za jeden z rogów.

– Stój spokojnie! – zakomenderowała, zupełnie jakby przemawiała do psa, a nie bestii wielkości małego słonia.

Hamish zbliżył się, zdecydowanym ruchem wbił igłę w byczy kark i nacisnął gruszkę na końcu strzykawki. Oscar ani drgnął.

– Nic z tego nie będzie! – orzekła po dziesięciu minutach Kate.

– Nie, jest już śpiący – powiedziała Lily. – Zaraz się położy.

I tak też się stało. Bykowi oczy zaszyły mgiełką, potrząsnął łbem i osunął się na burzę, która była teraz podłogą naczepy. Podbiegli strażacy, powiększyli błyskawicznie otwór, przywołali bliżej holownik z dźwigiem i obwiązali linami bezwładne ciało.

– Dokąd go odstawić? – spytał kierowca ciężarówki do przewozu bydła, kiedy Oscar spoczął wreszcie na skrzyni ładunkowej.

– Do szpitala – odparła Kate, a wszyscy mężczyźni biorący udział w akcji ratowniczej spojrzeli na nią dziwnie.

– Będzie zdrow jak ryba, kiedy się ocknie – zwrócił się do niej Hamish perswazyjnym tonem, jakim przemawia się do ludzi, którzy utracili kontakt z rzeczywistością.

– On musi zostać z Lily – wyjaśniła Kate. – Ona tego potrzebuje. A ją musimy zabrać do szpitala na badania. Na tyłach ogrodu Agnes Wetherby jest zagroda. Kiedy spytałam o nią kiedyś Charlesa, powiedział, że dawniej szpital trzymał tam własne krowy. Dla Oscara będzie w sam raz.

Harry wzruszył ramionami i spojrzął na kierowcę.

– Słyszałeś, co pani powiedziała – mruknął. – A wy jedziecie prosto do szpitala? – zwrócił się do Kate i Hamisha.

– Tak – odparł Hamish. – Musimy ją przebadać i powiadomić rodzinę.

Harry spuścił wzrok i przestąpił z nogi na nogę.

– O ile mi wiadomo, ona nie ma teraz żadnej rodziny.

Zaległo niezręczne milczenie. Pierwszy przerwał je Harry.

– A więc jutro? – spytał, zwracając się do Kate.

– No nie wiem – odparła z wahaniem. – Dam ci jeszcze znać.

– Umówiłaś się z nim na jutro? – spytał z wyrzutem w głosie Hamish, kiedy Harry się oddalił.

– Chciał mnie zabrać nad rzekę – przyznała – ale teraz...

– Nad rzekę, powiadasz. Ja zapraszałem cię na kolację do Athiny, na ognisko na plaży, do kina i na drinka, a ty zawsze miałaś tę samą wymówkę: że nie chcesz się z nikim wiązać. Ale poszłaś z Harrym do pubu na drinka, a teraz znowu się z nim umówiłaś?

– To nie tak. Naszły mnie wątpliwości, czy powinnam szukać ojca, a Harry mieszka tu od urodzenia i zna wszystkich, pomyślałam więc sobie, że może dowiem się najpierw od niego, czy mój ojciec ma rodzinę, a jeśli tak, to jacy oni są, i na tej podstawie zadecyduję, czy się z nim skontaktować.

– Umawiasz się z nim w ramach poszukiwania ojca? Dlaczego nie załatwisz tego oficjalnie? Nie lepiej byłoby iść na posterunek i tam z nim porozmawiać?

– Nie chcę tego załatwiać oficjalnie. W tym właśnie rzecz. Chcę się najpierw czegoś o ojcu dowiedzieć. Może on tu już nie mieszka. Może nigdy nie mieszkał. Może matka poznała go, kiedy był tu na urlopie. Tak czy inaczej, to nie czas ani miejsce, żeby o tym dyskutować. Musimy wracać z Lily do szpitala. A czy umawiam się z Harrym, czy nie, to nie twój interes!

Odwróciła się i odeszła. Hamish, oszołomiony tym ostatnim oświadczeniem, odprowadzał ją wzrokiem.

Stracił ją! Za daleko się posunął. Teraz będzie się umawiała z Harrym jemu na złość.

Poczuł ukłucie bólu, którego istoty nie rozumiał. Jak mogło mu się to przydarzyć?
Jemu, który nie wierzy w miłość.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Normalny sobotni młyn – zauważył Hamish, kiedy wchodzili z Lily do izby przyjęć.

Dyżur w rejestracji miała Grace. Spojrzała na dziewczynkę na rękach Kate i pokręciła głową. Wieści o tragicznym w skutkach wypadku dotarły już do szpitala.

– Będzie szybciej, jeśli wy ją przebadacie – powiedziała. – Wiem, że jesteście już po dyżurze, ale chyba zrobicie to dla niej?

– Też pytanie – mruknął Hamish. – Jest jakiś wolny gabinet zabiegowy?

Grace sprawdziła w komputerze.

– Piątka. Zawiadomię Charlesa, że jesteście. Próbuje właśnie znaleźć jakichś bliższych krewnych.

Hamish ruszył przodem. Weszli do gabinetu numer pięć, gdzie Kate opadła na krzesło, sadzając sobie śpiącą Lily na kolanach.

– Budzimy ją? – Spojrzała w niebieskie oczy Hamisha, w których malowało się zatroskanie.

Zatroskanie czy uraza? Trudno orzec, ale chyba jednak zatroskanie – w końcu są w pracy.

– Przecież wiesz, że trzeba – powiedział cicho. – Połóżmy ją na kozetce, przemyjmy z grubsza i obejrzymy.

Schylił się, by odebrać małą, i kiedy jego głowa znalazła się tuż przy głowie Kate, tej przemknęła nagle przed oczami migawka z przyszłości – ona, Hamish i dziecko...

Też coś! Niemożliwe! Wzdrygnęła się chyba, bo Hamish, biorąc Lily na ręce, zerknął na nią dziwnie.

Lily obudziła się, kiedy Hamish położył ją na kozetce. Rozejrzała się przestraszona, ale na widok Kate szybko się uspokoiła.

– Co z nią? – spytał Charles, wtaczając się na wózku do gabinetu.

Za nim postępowała Jill.

– Jakimś cudem wyszła z tego bez szwanku – odparł Hamish. – W każdym razie fizycznie. Ale musimy zatrzymać ją do jutra na obserwacji.

– Zostanę przy niej – zaofiarowała się Kate. – Jutro mam dzień wolny, to odeśpię tę noc.

Charles spojrzał na nią z uśmiechem.

– Czy ty w dzieciństwie sprowadzałaś do domu wszystkie bezpańskie psy, czy użalasz się tylko nad osamotnionymi ludźmi?

– Mieszkałam w śródmieściu, tam nie ma bezpańskich psów. A Jack nie jest już samotny, ma przecież Megan.

Kate nie bardzo wiedziała dlaczego, ale w obecności Charlesa czuła się zawsze skrępowana. Czy to przez to jego popatrywanie spode łba, czy z jakiegoś innego powodu? Przesunęła się bliżej kozetki, na której leżała Lily... i przy której stał Hamish.

– Według mnie Kate należy do tych rzadko spotykanych osób, z których empatia emanuje jak aura – oznajmiła Jill. – Ludzie Igną do niej, sami nie wiedząc dlaczego.

– Ja tylko staram się rzetelnie wywiązywać ze swoich obowiązków – zaprotestowała

Kate. Na samą myśl, że wydziela jakąś aurę i jest nią oblepiona, robiło jej się dziwnie nieswojo. – Zresztą to nie zmienia faktu, że jutro mam wolne, a więc korona mi z głowy nie spadnie, jeśli zostanę z Lily.

Pochyliła się nad dziewczynką i wyjaśniła jej, że Hamish chce ją zatrzymać w szpitalu.

– Dlatego, że boli mnie główka?

– Nie mówiłaś, że cię boli – podchwycił Hamish.

Charles był już na korytarzu i przywoływał sanitariusza, a kiedy ten nadbiegł, kazał mu wieźć małą na radiologię.

– Dopiero teraz zaczęła – odrzekła Lily, a przerażona Kate pomyślała natychmiast o śmiertelnie groźnym krwiaku, który być może rozrasta się i powiększa ciśnienie w czaszce dziewczynki.

– Trzeba mi było od razu zrobić jej ultrasonografię – powiedział Hamish do Kate, kiedy stali pod drzwiami oddziału radiologicznego i czekali na wyniki. Wyglądał na zdruzgotanego.

– Dlaczego? – spytała Kate. – Wykonywała polecenia, rozmawiała, miała otwarte oczy, reagowała prawidłowo na wszelkie bodźce. Nie straciła też przytomności, nie stwierdziliśmy żadnego urazu czaszki.

– Miała rozciętą skórę na głowie.

– Rana tylko krwawiła. Nie było nawet opuchlizny.

Z oddziału wyjechał do nich Charles z informacją, że badanie ultrasonografem nic nie wykazało.

– Głowa boli ją tam, gdzie skóra została rozcięta. I pyta wciąż o Kate – dodał, uśmiechając się ciepło.

– Pójdę do niej – powiedziała Kate, odwracając się do Hamisha – Widzisz!?! – dodała cicho, ściskając go lekko za rękę, ale wiedziała, że go to nie uspokoiło. Nadal wyrzucał sobie niedopatrzenie, pomimo że badał dziewczynkę ściśle według obowiązujących reguł.

Weszli razem do pokoju. Hamish wziął Lily na ręce i zaniósł ją do czteroosobowej sali dziecięcej.

Lily po drodze zasnęła i nie obudziła się, nawet kiedy położył ją na łóżku ani kiedy Kate przebierała ją w szpitalną piżamkę.

– Wiadomo teraz, że nie ma krwawienia wewnątrzczaszkowego ani żadnego urazu czaszki. To tylko zmęczenie – uznał Charles. – Wy z Kate też zdradzacie jego objawy. Idźcie na kolację. Posiedzę przy Lily do waszego powrotu.

– Posiedzisz przy niej?

– Potrafię siedzieć przy pacjentach! – odparował Charles z rozbawieniem. – Wiem, jak to się robi!

Potem westchnął.

– Poza tym, to sprawa osobista. Jeszcze jeden wątek sagi o waśni w rodzinie Wetherbych. Jej babka była moją kuzynką, ale ojciec przestał rozmawiać z tą gałęzią rodziny, zanim ja przyszedłem na świat. Wiedziałem o babce Lily i wyrzucam teraz sobie, że po śmierci ojca nie starałem się nawiązać z nią kontaktu, ale...

– Te rodziny! – wpadła mu w słowo Kate. Hamish ciekaw był, czy Charles wychwytił

zrozumienie w tonie, jakim to powiedziała. Spojrzał na bladą twarzyczkę Lily. Ileż to dziecko straciło... ile straciła Kate.

Nic dziwnego, że nie dowierza miłości, która się między nimi zrodziła. Łatwiej się przed nią bronić i umawiać z Harrym!

– No, idźcie już! – ponaglił ich Charles. Posłuchali.

– On jest bardzo samotny, prawda? – spytała Kate, kiedy znaleźli się na korytarzu. – Wcześniej o tym nie pomyślałam, ale to słyhać w jego głosie, kiedy mówi o rodzinnej waśni.

Hamish kiwnął głową. Nie powiedział, że w jej głosie też coś takiego słyszy. Nie powiedział, co myśli o samotności we wszelkich jej przejawach.

O poczuciu osamotnienia, które wkrótce stanie się również jego udziałem...

Nie! Nie stanie się. Kate coś do niego czuje i on musi jakoś złamać jej opór – tylko jak?

– O, zebranie lokatorów domu lekarzy? – zażartowała Kate, wchodząc do jadalni, w której przy stole siedzieli Cal, Giną, Emily, Grace i Susie.

I Harry!

– Harry znalazł brakujące byki – oznajmiła Giną, kiedy Kate dosiadła się do nich, nałożywszy sobie na talerz porcję rostbefu i warzyw.

– Brakujące byki? Jakie brakujące byki? – spytał Hamish, odsuwając jej krzesło. – Nie mówcie mi tylko, że w naszej zagrodzie przybyło byków. Charlesa szlag by trafił!

Roześmiali się wszyscy.

– Alcottowie przywieźli na rodeo cztery byki – wyjaśnił Cal. – Ale potem w naczepie był tylko uratowany przez was dzielnie Oscar. Czyli trzech byków brakowało.

– No i? – spytała Kate, rozglądając się po twarzach obecnych. – Coście tacy uszczęśliwieni, że Harry znalazł te trzy?

– Bo są w Wygerze – odparła Giną, jakby to w pełni wyjaśniało ten zbiorowy radosny nastrój.

Głos zabrał znowu Cal:

– Rob Wigererra, wujek jednej z dziewcząt, które przed kilkoma tygodniami zginęły w wypadku samochodowym, przez wiele lat organizował rodea, a potem pracował z występującymi na nich zwierzętami. Pomagał Alcottom rozkręcić interes, ale ostatnio wrócił do Wygery, bo jego matka źle się czuje.

– Kiedy rozmawiał na rodeo z Alcottami o basenie i nudzącej się młodzieży – podjęła opowieść Giną – ci zaproponowali, że zostawią mu kilka byków, żeby zainteresował tę młodzież nie tylko ich ujeżdżaniem, ale również doglądaniem. Czyż to nie cudowne?

Młode małżeństwo – Brad i Jenny – nie żyje. Mała dziewczynka została sierotą, kierowca ciężarówki ranny. Kate stanęła przed oczami tamta przerażająca scena. Odsunęła od siebie talerz. Nie była w nastroju do zachwyków.

– To będzie jeszcze jedno zajęcie dla młodzieży z Wygery, i to wyzywające. Co najmniej równie ekscytujące jak wyścigi tymi ich starymi gruchotami – wtrącił Hamish. – Giną i Cal bardzo się zżyli z tamtejszą społecznością, popularyzując projekt budowy basenu, i nie wątpię, że opieka nad bykami jeszcze bardziej pomoże. Wiem, że interes wydaje się mało poważny, ale na hodowli i szkoleniu zwierząt występujących na rodeo można sporo zarobić, a

Rob może zarządzać przedsięwzięciem w imieniu Lily, dopóki to będzie konieczne...

– Przedsięwzięciem, w które zaangażują się być może inni członkowie społeczności. – Kate rozumiała już, skąd te uśmiechy.

– To jesteście na jutro umówieni? – zwrócił się do niej Harry.

– Dzisiejszą noc spędzam przy Lily, a więc będę jutro niewyspana – odparła.

– Możemy się spotkać po południu – nie dawał za wygraną Harry.

Pokręciła głową.

– Nie, Harry – odparła najłagodniej, jak potrafiła.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Harry zerknął na Hamisha, potem przeniósł wzrok z powrotem na nią.

– No trudno! – powiedział, wstał od stołu i wyszedł bez pożegnania.

– To dobry człowiek – mruknęła Grace. Ona też wstała i wyszła.

– Co to miało znaczyć? – spytał Hamish.

– Grace od dawna podkochuje się w Harrym – powiedziała cicho Emily. – Niestety on, aż do przyjazdu Kate, nie przejawiał większego zainteresowania kobietami.

– Biedna Grace – westchnęła Gina, zbierając brudne talerze. – Miłość może dokuczyć. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Święte słowa – przyznał ponuro Hamish, kiedy zostali przy stole sami. – Miłość może dokuczyć.

– To nie miłość – zachnęła się Kate. – To nie może być miłość. Znamy się dokładnie dwa tygodnie. Ludzie nie zakochują się w sobie w ciągu dwóch tygodni.

Milczał przez chwilę, potem spojrzał jej w oczy.

– Ja się zakochałem – oznajmił z przekonaniem. – Wiem, że nie chcesz o tym słuchać, Kate, ale ja muszę ci powiedzieć.

Rozejrzał się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Znowu zły czas i złe miejsce, prawda? Wyznaję ci miłość w szpitalnej stołówce.

Kate nie wiedziała, jak zareagować. Powoli, ze smutkiem, pokręciła głową. Potem westchnęła i zmieniła temat:

– Nie mam apetytu. Wracam do Lily. – Odsunęła się z krzesłem od stołu i wstała. – Mike organizuje podobno ognisko na plaży. Nie wypadaloby, żebyś mu pomógł, a przynajmniej tam poszedł?

Hamish uśmiechnął się tak żałośnie, że wolałaby chyba, by na nią zawarczał albo ryknął.

– To ognisko jest jutro wieczorem – powiedział i oczy jakby mu zabłysły. – I tak się składa, że jutro oboje mamy dzień wolny. To, rzecz jasna, nie będzie żadna randka, ale na pewno się tam spotkamy.

Kate przeszedł dreszcz. Plaża, ognisko, nocne niebo, muzyka fal omywających brzeg...

Ostatnim razem uciekła od tego wszystkiego – ale nie uciekła wystarczająco daleko. Hamish nie daje łatwo za wygraną. Może jednak trzeba było przyjąć zaproszenie Harry'ego i pójść z nim nad rzekę.

W końcu oboje nie poszli na ognisko.

Zaczęło się dość niewinnie. Lily zapytała, gdzie trzymają pokarm dla Oscara.

Hamish, Kate i Lily – nadal w szpitalnej piżamce – siedzieli na ogrodzeniu zagrody dla bydła i obserwowali Oscara, który skubał z apetytem trawę, co zdaniem Kate w zupełności mu wystarczało.

Hamish zjawił się w szpitalu o świcie i uspokojony meldunkiem, że z Lily nie było żadnych problemów i obie z Kate przespały prawie całą noc, zabrał Kate na śniadanie do stołówki. Kiedy wrócili do sali dziecięcej, Lily już się obudziła i uparła się, że musi odwiedzić swojego przyjaciela.

No i siedzieli teraz na ogrodzeniu.

– Jaki pokarm? – mruknęła Kate. – Przecież on żywi się trawą.

– No co ty. Trzeba go karmić śrutą.

Kate słyszała coś o śrucie, ale kojarzył jej się bardziej z jakiegoś rodzaju bronią strzelecką. Wiatrówkami? Strzelbami?

– Śrutą? – powtórzył Hamish.

– To taka karma. Mamy ją w domu – wyjaśniła Lily. – Będzie trzeba po nią pojechać.

Odbyli już kilka rozmów o rodzicach Lily, ale Kate nie miała pewności, czy do dziewczynki naprawdę dotarło, że nie żyją. Czyżby jej zainteresowanie jadłospisem Oscara było tylko pretekstem do pojechania do domu? Czyżby spodziewała się, że zastanie tam rodziców?

Zerknęła ponad główką małej na Hamisha i z jego twarzy oraz lekkiego wzruszenia ramionami wyczytała, że nachodzą go te same wątpliwości.

– Musimy spytać Charlesa – powiedziała.

– No to chodźmy – przystała Lily i zsunawszy się z ogrodzenia, pomaszerowała w stronę szpitala.

– Skąd wiesz, gdzie jest jego gabinet? – spytał Hamish, kiedy prowadziła ich bez wahania korytarzami.

– Rozmawiałam z Charlesem i Jill dziś rano, kiedy wy byliście na śniadaniu – odparła. – Pytał mnie o rodzinę tatusia, czy mam jakieś ciocie i wujków, a ja mu powiedziałam, że nie mam żadnych, ale on jest moim kuzynem i mówi, że mogę u niego zostać, dopóki czegoś się nie wymyśli.

Lily zatrzymała się i odwróciła do Hamisha.

– Charles dużo wie o bykach – powiedziała. – I o innych rzeczach też. I mówi, że w szpitalu jest wiele osób, które mogą się mną opiekować, kiedy on będzie w pracy.

Kate uśmiechnęła się w duchu. Czy można było sobie wymarzyć bardziej idealny układ? Samotny Charles sprawujący opiekę nad żywotną małą dziewczynką.

– Czy to się uda? – spytał Hamish Kate, kiedy Lily znów ruszyła przed siebie.

– Może – odparła ostrożnie Kate.

Lily weszła bez pukania do gabinetu, przywitała się z Charlesem i wyjaśniła mu problem z karmą dla Oscara.

– Aha! – mruknął Charles, kiwając głową i uśmiechając się do swojej nowej małej przyjaciółki. – A wytłumaczyłaś Kate i Hamishowi, co to jest ta śruta?

– Powiedziałam, że Oscar ją je – odparła Lily, a udzielenie bliższych informacji wzięła na

siebie Charles.

– Bydło występujące na rodeo wymaga specjalnej opieki. Właściciele ustalają, czego konkretnie mu potrzeba i wypisują... swego rodzaju receptę na zbilansowaną mieszankę witamin, protein i minerałów dla każdego zwierzęcia z osobna. Na podstawie takich recept firmy produkujące karmę dla zwierząt wytwarzają śrutę. Oscar jest nią karmiony rano, a po południu sianem. Dzięki temu łatwiej doglądać zwierząt występujących na rodeo. Karmione dwa razy dziennie, przyzwyczajają się do obecności swoich opiekunów.

Kate patrzyła na niego, kręcąc z podziwem głową, Hamish z rozbawieniem.

– Gdyby Lily miała oswojonego rekina, też byś wiedział, czym go karmić? – spytała Kate, przypominając sobie, jak Daniel opowiadał jej kiedyś o swoim ekscentrycznym znajomym, który trzymał rekina w akwarium w salonie.

Charles uśmiechnął się.

– Chyba rybami – odparł i zwrócił się do Hamisha: – Sam bym pojechał z Lily, ale dziś rano przylatuje jakaś szyszka z ministerstwa zdrowia. Nie wyręczyłbyś mnie? Wziąłbyś kombi i przywiózł kilka worków tej śruty. Za jakiś czas przetransportujemy cały zapas do Wygery.

– A Kate może z nami jechać? – spytała Lily, chwytając Kate za rękę.

Charles spojrzał na Kate ponad główką dziewczynki, a Kate wyczytała z jego oczu, że myśli to samo co ona – że może Lily musi się przekonać na własne oczy, że w domu nikogo nie ma. I może ktoś będzie musiał ją przytulić, kiedy się rozpłacze.

– Daleko to? – zapytała.

– Skądże – odparł Charles. – Góra trzysta.

– Kilometrów? – spytała słabym głosem Kate. Hamish roześmiał się.

– Widać, że jesteś z miasta – zażartował. – Tutaj to niedzielna przejażdżka. Mam rację, Charles?

Może i była to niedzielna przejażdżka, ale nastrój nie ten. Kate serce się krajało, kiedy patrzyła, jak Hamish oprowadza przygnębioną dziewczynkę po pustym domu, potem klęka i pomaga jej wybierać zabawki i rzeczy do zapakowania. W drodze powrotnej Lily milczała i w końcu zasnęła na tylnym siedzeniu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Trzy tygodnie temu Hamish nie mógł się już doczekać tej kolacji pożegnalnej z Charlesem. Jednak dzisiaj, na dzień przed wyjazdem...

– Jak na człowieka, który wraca do kraju, żeby objąć wymarzoną praktykę, nie wyglądasz na specjalnie uszczęśliwionego – zauważył Charles.

Hamish, przekonany aż do tej pory, że dobrze ukrywa swoje przygnębienie, wzruszył jedynie ramionami.

– Kate?

Tym razem Hamish kiwnął tylko głową. Nie chciał rozmawiać o kobiecie, w której tak beznadziejnie się zakochał.

– Jedno ci powiem. To niemożliwe, żeby ona cię nie kochała.

– Słucham?

Charles uśmiechnął się.

– Powiedziałem, że to niemożliwe, żeby ona cię nie kochała. Wystarczy stać obok niej, kiedy jesteś w pobliżu, i człowiek czuje ten bijący od niej żar miłości. Nie chce lecieć z tobą do Szkocji? Ma jakieś powody, żeby zostać w Australii? Może obawia się zaczynania wszystkiego od początku tak daleko od rodziny.

– Ona nie ma rodziny! – burknął Hamish. – W tym cały problem. A przynajmniej tak mi się wydaje. Może w tym, co mówisz, coś jest, może ona mnie na swój sposób lubi, ale tyle w życiu przeszła...

Kate zamordowałyby mnie gołymi rękami, gdyby dowiedziała się, że opowiadam o jej kłopotach, pomyślał, albo że jej współczuję.

– Opowiedz mi o niej.

Te cicho wypowiedziane słowa sprawiły, że Hamish przestał udawać, że delektuje się przepyszными nadziewanymi liśćmi winorośli, które zamówił na kolację, i zapomniał o śmierci grożącej mu z rąk Kate. Opowiedział Charlesowi wszystko, co mu było wiadome.

– Czyli przyjechała tutaj szukać ojca, powiadasz? Charlesowi udało się jakoś wyłowić główny wątek z niezbyt składowej relacji Hamisha.

– I znalazła?

Hamish spojrzał uważnie na przyjaciela. Kate i jej problemy wydały mu się nagle mniej istotne, drugorzędne. Charles wyglądał na przybitego i roztrzęsionego. Przechodził ostatnio kilka poważnych kryzysów emocjonalnych. Czyżby odbiło się to na jego zdrowiu?

– Znalazła?

To powtórzone z naciskiem pytanie przywołało Hamisha do rzeczywistości. Zaraz po powrocie do domu porozmawia z Calem o stanie zdrowia Charlesa.

– Nie – odparł. – Podejrzewam, że wszczęła poszukiwania biologicznych rodziców pod wpływem impulsu, szoku, jakiego doznała, dowiadując się najpierw, że została adoptowana, a zaraz potem przyłapując tego szczura, swojego narzeczonego, na zdradzie. Po prostu musiała odreagować. Matkę znalazła, ale ta już nie żyła. Jej sąsiedzi pamiętali, że wspominała często

o Crocodile Creek. Kate przez cały czas do działania popychały emocje i dopiero kiedy tu przyjechała, dotarło do niej, że dwudziestosiedmioletnia córka może nie być dla ojca osobą najmilej widzianą. Ogarnęły ją wątpliwości.

– Ma dwadzieścia siedem lat? Kiedy wypadają jej urodziny?

– W sierpniu. Zapamiętałem, bo tak się składa, że urodziła się tego samego dnia co Lucky.

– To by się zgadzało – mruknął Charles. – Jak miała na imię jej matka? Powiedziała ci?

Hamish zastanawiał się przez chwilę, potem pokręcił głową.

– Ale widziałem fotografię. Zamierzała ją pokazać Harry’emu, bo on mieszka tu od dziecka i wszystkich zna, ale w końcu tego nie zrobiła. Mnie jednak pokazała. – Hamish zawiesił głos i znowu przyjrzał się uważnie Charlesowi. Nie widząc jednak u przyjaciela żadnych oznak bezpośredniego zagrożenia życia, podjął: – Wyobraź sobie, że właściwie to ta fotografia nie była jej do niczego potrzebna. Jest do matki uderzająco podobna.

Charles odsunął od siebie talerz z niedojedzoną kolacją i odjechał od stołu.

– Idziemy stąd.

Hamishowi na usta cisnęło się całe mrowie pytań, ale bez słowa protestu wyszedł za Charlesem z restauracji.

– Kate w domu? – spytał Charles, kiedy przejechali przez most i minęli szpital.

– Nie ma dzisiaj dyżuru – mruknął Hamish, coraz bardziej zaintrygowany zachowaniem Charlesa.

– To dobrze! Znajdź ją i powiedz, że czekam w salce telewizyjnej. Ty też z nią przyjdź. Może doznać szoku, kiedy się dowie, że jestem jej ojcem.

– Co?! Ty? No nie, daj spokój, Charles! Nie możesz tego wiedzieć. Nie znasz nawet imienia jej matki...

– Owszem, znam! – warknął Charles. – Miała na imię Maryanne i była, jak zauważyłeś, uderzająco podobna do Kate.

Do Hamisha nie w pełni jeszcze dotarło to, co przed chwilą usłyszał. Miał trudności z pozbieraniem myśli.

– Postaram się ją znaleźć – powiedział – ale nie wydaje mi się, że salka telewizyjna będzie najlepszym miejscem na odbycie tej rozmowy. Ktoś z lokatorów na pewno tam teraz siedzi, a Kate jest bardzo skryta.

– No to w ogrodzie – zaproponował Charles, kiedy zatrzymali się przed domem. Kate mówiła mi, że bardzo jej się ten ogród podoba, a więc będzie się w nim czuła swobodnie.

Hamish uchylił drzwi pokoju Kate i zajrzał. Spała. Dochodziła dopiero dziesiąta, ale ona do szóstej miała dyżur, a po zejściu z niego bawiła się jeszcze z Lily.

Westchnął. Nie ma wyjścia, musi ją obudzić. Ale nie będzie przecież krzyczał od progu, bo cały dom się tu zbiegnie. Wszedł do środka, zbliżył się do łóżka i dotknął lekko jej ramienia.

– Kate, to ja, Hamish.

Otworzyła natychmiast oczy i usiadła. Wesoły hipopotamek wyprężył się na jej piersiach.

– Hamish? – wyrzuciła z siebie zaspanym głosem.

– Wszystko w porządku – rzekł łagodnie, siadając na łóżku i otaczając ją ramieniem. – Przepraszam, że cię budzę, ale Charles chce z tobą porozmawiać.

– Coś z Lily?

– Nie, Lily smacznie sobie śpi.

– Ale Charles? Chce ze mną rozmawiać? Która to godzina?

– Parę minut po dziesiątej. Czeka w ogrodzie. To ważna sprawa, miłości moja.

– Lepiej dla niego, żeby taka była – warknęła jego miłość, odtrącając rękę, którą ją obejmował, i spuszczać nogi na podłogę. – Ani jednej nocy nie przespałam spokojnie, od kiedy tu przyjechałam.

Burząc coś pod nosem, wciągnęła spodnie od dresu, przejechała szczotką po włosach, wsunęła stopy w sandały – tym razem różowe, z różyczką między palcami – i zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju.

Hamish dogonił ją na stopniach werandy.

– O co, u licha, chodzi? – zapytała już spokojniej.

– To sprawa osobista – odparł, obejmując ją i przyciągając do siebie.

Błąd. Zatrzymała się w pół kroku, odwróciła do niego i chociaż było ciemno, dostrzegł w jej oczach gniewny błysk.

– Osobista? Jaka osobista? Nie mów mi tylko, że nakłoniłeś go, żeby się za tobą wstawił i namówił mnie do wyjazdu z tobą do Szkocji. Po to mnie obudziłeś? – Pokręciła głową. – Nie, ty byś tego nie zrobił. Przepraszam. W takim razie o co chodzi?

– O twoją rodzinę – przyznał z ociąganiem. – Teraz ja przepraszam, nie zamierzałem mu nic mówić, ale on dopytywał się, dlaczego nie chcesz jechać ze mną do Szkocji i jakoś tak samo mi się wymknęło, że szukasz ojca.

Przygotował się na wybuch, ale Kate westchnęła tylko, uniosła rękę i dotknęła jego policzka.

– Masz ty ze mną przeproszę – powiedziała cicho. Hamish zapomniał nagle o czekającym w ogrodzie Charlesie, porwał Kate w ramiona i pocałował.

Charles czekał na nich przy ogrodowej ławeczce, ściskając kurczowo poręcze swojego inwalidzkiego wózka.

– Kate!

Charles wskazał ruchem głowy ławeczkę. Kiedy usiadła, wziął ją za rękę.

– Nie wiem, od czego zacząć, moja droga, ale kiedy Hamish powiedział mi...

Urwał i spojrzał na Hamisha, który doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinno go tu być... ale Charles szukał tylko u niego wsparcia.

– Charles twierdzi... – Hamish odchrząknął. – Charles twierdzi, że znał twoją matkę.

Kate zeszywniała, poruszyła wargami, ale nic nie powiedziała. Hamish ciągnął:

– Że znał i kochał... – spróbowałby, cholera, nie kochać, dodał w myślach – młodą kobietę tak uderzająco podobną do ciebie, że od kiedy tu jesteś, widzi w tobie jej ducha.

Hamish spojrzał Kate w oczy.

– Na imię miała...

– Maryanne! – wyrzucił z siebie Charles, uniosł rękę Kate i czekał w napięciu, aż

doczekał się lekkiego skinienia głowy, tak lekkiego, że przeszłoby chyba niezauważenie, gdyby Kate jednocześnie się nie rozpląkała. – Moja droga! Kate! – Charles przyciągnął jej dłonie do ust i ucałował je, a potem spojrział na nią z pobladłą twarzą i spytał: – Nie mylę się?

Kate pokręciła głową, tym razem wyraźniej, i ukryła twarz w ich złączonych dłoniach.

Kiedy Charles zaczął gładzić jej lśniące kasztanowe włosy, Hamish wstał i oddalił się cicho.

Nie odszedł daleko. Kate mogła go jeszcze potrzebować, ale tych dwoje musi mieć teraz trochę prywatności.

Hamish drzemał z głową opartą o żelazną kratkę zdobiącą balustradę, kiedy nad ranem do schodów podjechał Charles, prowadząc za rękę Kate.

– Musisz się przespać – powiedział Charles, a ona nachyliła się i cmoknęła go w policzek.

– Ty również – szepnęła i wskazała ruchem głowy swojego śpiącego gwardzistę. – I Hamish.

Charles puścił jej rękę, cofnął się z wózkiem i zawrócił, by odjechać do samochodu. Światło wylewające się z okien domu odbiło się od kół wózka i załśniło na jego pokrytych cieniutką warstewką wilgoci policzkach.

Kate zaczęła, aż Charles zniknie jej z oczu, i dotknęła lekko głowy Hamisha.

– Hej! Idź do łóżka – powiedziała, siadając obok niego na stopniu.

Hamish otworzył oczy.

– I jak poszło? – spytał po chwili i wysłuchał historii młodej dziewczyny, która pracowała na ranczu Wetherby Downs i chłopca uczącego się w szkole z internatem, który przyjechał do domu na wakacje, ledwie siedemnastoletniego, ale na tyle już dorosłego, żeby się zakochać.

– Pod koniec stycznia wrócił do szkoły, obiecując, że pozostaną w kontakcie. Byli w sobie tak rozkochani, że planowali już małżeństwo, kiedy on pod koniec roku ukończy szkołę i wróci na ranczo. Pisał, ona odpisywała, i tak było aż do Wielkanocy. Na tydzień przed wiosennymi feriami, nie otrzymawszy odpowiedzi na swój list, zadzwonił do domu i dowiedział się, że Maryanne odeszła. W letnie wakacje przyleciał do domu i skontaktował się z ciotką Maryanne, która wychowywała ją w Crocodile Creek, ale ciotka myślała, że Maryanne nadal pracuje w Wetherby Downs. Rozpytywał o nią, ale o Maryanne wszelki śluch zaginął. Zupełnie jakby nigdy nie istniała.

Obiło mi się o uszy, że ojciec Charlesa był strasznym człowiekiem – dodał cicho Hamish.

– Kiedy nabrał pewności, że plany, jakie miał wobec syna, mogą legnąć w gruzach, postarał się, żeby Maryanne zniknęła. W okolicach Wielkanocy ciąża musiała już być widoczna.

Kate pokiwała głową.

– Przejdziemy się na cypel? – spytał Hamish. – Chodź – dodał, widząc, że Kate się waha.

– Dobrze nam to zrobi.

Kate, opierając się o bramę zagrody, obserwowała Lily, która siedziała w bujnej trawie, wrywała ją garściami i karmiła Oscara. Trajkotała przy tym bez ustanku, opowiadając mu, że będzie teraz mieszkała z Charlesem, a on pojedzie do Wygery, do innych byków, ale ona i

Charles będą go często odwiedzali.

Łagodny olbrzym stał przed nią, wyjmując delikatnie kępki trawy z małej rączki, i zdawał się słuchać tego z wielkim zainteresowaniem.

Do Kate podszedł Hamish. Pytał ją nieraz, czy pojedzie z nim do Szkocji, ale wiedziała, że dzisiaj, w przeddzień swojego wyjazdu, już nie zapyta.

Kolej na nią. Zerknęła na niego spod oka.

– Ona go bardzo kocha, prawda? – odezwała się.

– I on ją też. To widać – przyznał Hamish. – Masz tu najlepszy przykład na potęgę miłości!

Teraz Kate spojrzała już na niego otwarcie, i widząc jego udręczoną twarz, wspięła się na palce i pocałowała go w podbródek.

– A ty mnie kochasz? – spytała i zauważyła, że w jego smutnych oczach budzi się nadzieja.

– Nie wiem, czy mi wolno – mruknął wzruszonym głosem.

– Wolno – powiedziała i czekała.

Hamish wydał radosny okrzyk, płosząc Oscara. Lily spojrzała na nich z wyrzutem.

– Naprawdę? I wyjdiesz za mnie?

– Tak, i jeszcze raz tak – wykrztusiła Kate. Hamish porwał ją w objęcia, ale chyba nie wierzył jeszcze do końca w to, co przed chwilą usłyszał.

– A Charles? A twoja rodzina? Chyba dotarło już do ciebie, że masz tutaj rodzinę. Jack jest twoim kuzynem, i jesteś spokrewniona z Lily.

– Charles powiedział, że będą nas z Lily odwiedzali. Jack z Megan i Jacksonem też mogą do nas przyjeżdżać...

– Bardzo cię kocham – powiedział zduszonym głosem.

– Ja ciebie też – szepnęła Kate, uwalniając się z jego objęć i spoglądając mu w oczy. – Całym sercem! – dodała.

A potem znowu go pocałowała. Po drugiej stronie ogrodzenia Oscar kiwał życzliwie łbem.

Byli tam wszyscy – Christina i Joe, którzy wrócili właśnie z Nowej Zelandii z matką i siostrą Joego, Emily z Mikiem, Cal z Giną, CJ z Rudolphem. Byli tam też Grace i Susie, Georgie i mały Max, i Jill stojąca obok Charlesa, który trzymał na kolanach Lily. Stali szeregiem na podjeździe pomiędzy domem a szpitalem, wznosili pożegnalne okrzyki, życzenia powodzenia i wymachiwali, czym kto mógł.

Stary dom, który tyle już widział, żegnał ich teraz z żalem. Ale stał już od wystarczająco dawna, by wiedzieć, że tylko patrzeć, jak w jego ścianach znowu rozkwitnie miłość.